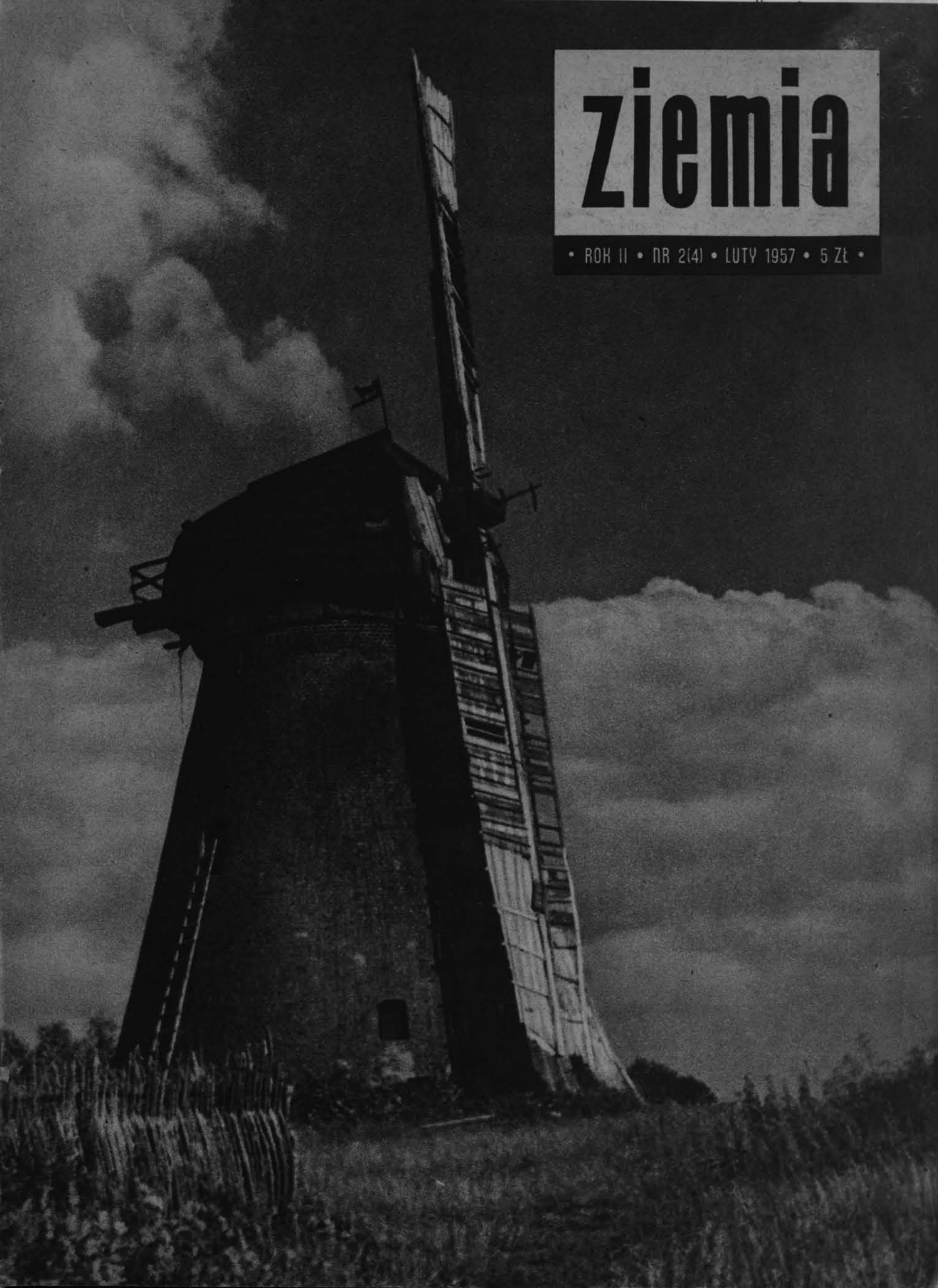


ziemia

• ROK II • NR 2(4) • LUTY 1957 • 5 ZŁ •



przedstawia zabytkowy wiatrak typu holenderskiego ze wsi Sasiny w powiecie wąbrzeskim. Obok — artykuł o wiatrakach.



W NASTĘPNYM NUMERZE m. in.:

GINĄCE KAMIENIE
BORSUK
GÓRY PIEPRZOWE
RZEKA, KTÓRA NIE PŁYNIE
ŁOŻA MASONSKA W KONINIE

WARUNKI
PRENUMERATY

Prenumeratę na II kwartał br. (i następne) przyjmują placówki pocztowe, listonosze, centrala „Ruchu” w Warszawie, Srebrna 12 (konto PKO dla wpłat 1-6-100 020) oraz Oddziały „Ruchu” w Warszawie, w miastach wojewódzkich i powiatowych TYLKO DO 10 MARCA.

Warunki prenumeraty — kwartalnie 15 zł, półrocznie 30 zł, rocznie 60 zł.

Czytelnicy posiadający krewnych lub znajomych za granicą mogą zamawiać prenumeratę naszego pisma ze zleceniem wysyłki za granicę w P.K.W.Z. „Ruch”, Warszawa, Wilcza 46, tel. 864-84, wewn. 69 (nr konta PKO 1-6-100 024.) Cena prenumeraty zagranicznej — kwartalnie 19,50, półrocznie 39 zł, rocznie 78 zł.

Prenumeratę nadesłaną do 10 marca „Ruch” zacznie realizować z dniem 1 kwietnia.

ziemia

— ilustrowany miesięcznik krajoznawczy, organ Polskiego Towarzystwa Turystyczno-Krajoznawczego. Przewodniczący komitetu redakcyjnego — MAREK SOBOLEWSKI, redaktor naczelny — PRZEMYSŁAW BURCHARD, zast. red. nac. — JANUSZ GRZYBOWSKI, sekr. red. — LESZEK DZIEGIEL, red. graficzny — JANUSZ MILEWICZ, red. działu — MARIAN KORNECKI. Tymczasowy adres redakcji: Kraków, plac Wiosny Ludów 8, tel. 571-04. PAŃSTWOWE WYDAWNICTWO NAUKOWE, Oddział w Krakowie, Smoleńsk 14, 596-76. Nakład 18 000 egz. Papier rot. 70 g. Do składania 10. I. 1957. Podpisano do druku 28 lutego 1957. Druk ukończono w marcu 1957. Zam. 17/57. M-15

DRUKARNIA NARODOWA W KRAKOWIE, ul. Manifestu Lipcowego 19.

Młynarstwo na słabo uprzemysłowionym obszarze b. Prus Wschodnich prawie do połowy XIX wieku było jedną z podstawowych gałęzi wytwórczości. Pierwotni mieszkańcy tej ziemi mieli zboże na żarnach i młynkach ręcznych, prostych, nie skomplikowanych w konstrukcji. Zakon krzyżacki, który w XIII wieku gwałtem i przemocą zażładał Prusami, widząc w przemyśle młynarskim intratne źródło dochodu, zabronił poddanym posiadania i użytkowania żaren. Przetwórstwo zboża ulega opodatkowaniu. Obfitość wód w kraju „tysiąca jezior” wpływa na wyzyskanie wody jako energii napędowej i dlatego też przeważają w tym czasie młyny wodne. Nie znaczy to, by w owych czasach nie było młynów wietrznych, czyli wiatraków. Pierwsze wzmianki o wiatrakach pochodzą z końca XIV w. I tak np. Kapituła Pomezkańska w Kwidzynie, przywilejem wydanym w r. 1394, zezwala na wzniesienie wiatraka w Rusinowie pod Kwidzynie. Inny dokument z r. 1682, dotyczy pobudowania wiatraka w Łodygowie, pow. suskim. Odtąd już stale wzrasta liczba wiatraków i osiąga punkt kulminacyjny rozwoju w poł. XIX w. Od tego jednak czasu wiatraki muszą ustępować miejsca młynom parowym, elektrycznym, motorowym.

Pierwotnie młyny i wiatraki były własnością Zakonu, Kościoła, króla, gmin lub prywatnych właścicieli ziemskich, którzy wdzierżawiali je młynarzom, rekrutującym się najczęściej spośród chłopstwa. Stanowisko młynarza, w porównaniu z oplakany stanem pańszczyźnianego chłopca, było uprzywilejowane. Obdarzano tą funkcją ludzi zaufanych; z czasem nawet, w okresie formowania się militarystycznego państwa pruskiego, młynarz stał się zaprzysiężonym urzędnikiem państwowym.

Początkowo osadzano młynarzy w młynach na „czwartej” lub „szóstej mierze”, tj. na 1/4 albo 1/6 części dochodu z młyna. Młynarze byli zobowiązani do bezpłatnego przemiału zboża pańskiego, tj. właściciela młyna, odstawienia 4—5 tuczonych świń w roku, karmienia psów myśliwskich pana i dokonania własnym sumptem drobnych napraw w młynie. Za przemiał młynarze pobierali opłaty „mlewa”, tj. miarkę z korca i suty napiwek. O klientów młynarze nie potrzebowali zabiegać wobec obowiązującego przymusu mlewa, tj. zarządzenia wyznaczającego mieszkańcom poszczególnych wsi z góry określony młyn do dokonania przemiału zboża.

Osobny podatek pobierano przy przemiale siodu. Od podatku te-

Alfons Klonowski

go nikt nie był zwolniony. Oplacano go z góry w komorze skarbowej, otrzymując w zamian znaczek, który okazywano młynarzowi. Młynarz „słodowe” zapisywał do specjalnej księgi, kontrolowanej przez urzędników skarbowych. Przymus mlewa zniesiono w r. 1772 wprerw w domenach państwowych, a w r. 1808 na pozostałym obszarze. Właściciele ziemscy zostają pozbawieni jednego z przywilejów feudalnych, zapewniającego im przez szereg stuleci ogromne dochody.

Począwszy od XVIII w. zamiast dawnych opłat na „mierze”, właściciele młynów wdzierżawiają je chłopom naprzód na lat 6, a później na czas dłuższy. Czynniki młynarze odtąd uiszczali bądź w naturaliach, bądź w gotówce.

XIX wiek cechuje wzrost liczby wiatraków chłopskich. Właściciele ziemscy, będący w większości posiadaczami wiatraków, widząc ogromny rozwój przedsiębiorstw produkcyjnych w miastach, w których wprowadzono najnowsze zdobycze techniki w postaci maszyn parowych, wolą w nich lokować swoje kapitały. Wyzbywają się na korzyść chłopstwa posiadanych wiatraków, z których dochody były niskie w porównaniu z perspektywami wielkich zysków w przedsiębiorstwach kapitalistycznych. Na wsi, obok nabywających wiatraki chłopów, niekiedy zakupują je również przybysze z miasta, wre cicha walka konkurencyjna. Wgrywiają młynarze zasobniejsi, ekonomicznie silni. W początkach XX w. pojawiają się na wsi pierwsze młyny parowe. Odtąd wiatraki są skazane na zagładę.

Na Mazurach, Warmii i Powiślu występują dwa typy wiatraków, a mianowicie: tzw. „koźlak” i wiatraki holenderskie, przezwane „holendrami”. „Koźlak” wynaleziony w średniowieczu, pomimo olbrzymiego postępu technicznego, przetrwał do dziś na Powiślu i Mazurach. Najlepszym przykładem tego jest czynny do dzisiaj wiatrak tego typu w Wodzianach, pow. morąskim, wzniesiony w r. 1773, który jeszcze niemałe usługi oddaje użytkownikowi, PGR w Pakitach. Wiatraki tego typu spoczywają na „sztendrze”, tj. okrągłym słupie stanowiącym oś środkową, z którą obraca się cały budynek. „Sztender” wmontowywano zazwyczaj w bardzo prymitywną konstrukcję belkową, spoczywającą na gruncie. Wiatrak obracał na pomocą drąga, połączonego z górną częścią osi, którego drugi koniec wystawał na zewnątrz, oparty o ziemię. Drągiem tym popychanym przez ludzi nastawiano skrzydła na wiatr.

Mechanizm wiatraków jest

prosty i mało skomplikowany. Skrzydła osadzone na wale wprawiają w ruch obrotowy koło pałeczne, powiązane z drugim takim samym kołem osadzonym na sosze, tj. wale sterującym prostopadłe do wału skrzydłowego. W dolną część sochy jest wmontowane wrzeciono, będące osią dla dwóch kamieni młyńskich. Obracająca się socha powoduje obroty wrzeciona, które wprawia w ruch obrotowy kamienie młyńskie ze zbożem.

„Koźlakami”, poza wyżej wymienionym wiatrakiem z Wodzian, są np. wiatraki w Narzynie (pow. działdowski), St. Howie (pow. mławski), w Kabinach (pow. reszelski), Krzyżewie (pow. elcki). Wiatrak w Narzynie spoczywa na drewnianej podłodze, posiadającej od dołu żelazne kółeczka, które przy obrocie budynku chodzą po żelaznych szynach, umocowanych na fundamencie. Zamiast drąga do regulowania obrotów korpusu, wiatrak ma po przeciwległej stronie skrzydeł wiatraczek, który samoczynnie reguluje nastawienie skrzydeł na wiatr.

Inną odmianą wiatraków, występujących na omawianym terenie, są wiatraki holenderskie, czyli tzw. „holendry”. Wiatraki te wynaleziono około 300 lat temu w Holandii. Z racji swoich ulepszeń szybko rozprzestrzeniły się po całej Europie i między innymi dotarły na Mazury, Warmię i Powiśle. Pod względem konstrukcyjnym „holender” jest doskonalszy od „koźlaka”. Budynek pozostaje nieruchomy, a obraca się jedynie górna jego część z „helmem”, zw. również „czapką”. Na Warmii, Mazurach i Powiślu występują dwa zasadnicze typy „holendrów”. Jedne są konstrukcji słupowej — drewniane, drugie, masywne — murowane, z cegiel. Pierwsze o ścianach słupowych, ośmiobocznych, lekko pochylonych, oszalowanych z zewnątrz deskami, a wyjątkowo gontem, spoczywają bądź na niskim fundamencie masywnym z cegiel, jak np. w St. Dzierżgoniu w pow. morąskim, bądź mają wymurowaną piwnicę, jak np. w Gutach pow. piskim i Bęsiach w pow. reszelskim.

Masywne wiatraki o ścianach z cegiel zachowały się jeszcze, choć w oplakany stan, w Zielonce Pasłęckiej (pow. pasłęcki) i Buczniku, (pow. morąski).

Większość „holendrów” ma z tyłu „czapki” przymontowany wiatraczek do nastawiania skrzydeł na wiatr.

Wiek XX przynosi z sobą wolny zanik wiatraków. Niewie-

Dokończenie na str. 4

1



1 Wiatrak typu holenderskiego w Buczniku w pow. wąbrzeskim jeden z ostatnich zabytków tego rodzaju, niedawno przeznaczony na rozbiórkę.

Fot. Marian Kornecki

2



2 Czynny do dziś wiatrak holenderski o ścianach krytych gontem. Guty pow. piski.

Fot. A. Klonowski

3 Wiatrak (czynny do dziś) typu holenderskiego w Królewie (pow. morąski)

Fot. Marian Kornecki

4 Silnie zdewastowany (dziś może już nie istniejący) wiatrak holenderski z Bożęcina w pow. morąskim.

Fot. Marian Kornecki

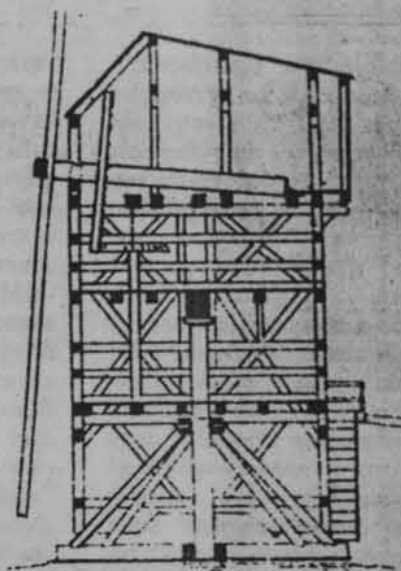
3



4

5 Przekrój podłużny wiatraka typu „koźlak” z Rychlik w pow. pasłęckim (wg Dettlefsena)

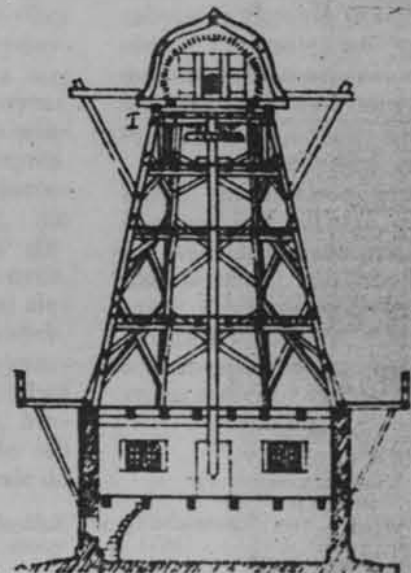
5



6 Przekrój poprzeczny wiatraka holenderskiego z Kwietnika pow. pasłęcki (wg Dettlefsena)



6



d'57 m 2(4)
s. 3

POCZĄTKI WYDOBYCIA SOLI W POLSCE

Helena Burchard



Rys. S. Hennig

Sól, jako niezbędny składnik pożywienia, była od najdawniejszych czasów jednym z minerałów najbardziej poszukiwanych przez wszystkie ludy. Należy przypuszczać, że ziemie polskie, tak bogate w sól, nie stanowiły pod tym względem wyjątku. Niestety, dotychczas wobec braku badań archeologicznych nad tym zagadnieniem, nie możemy powiedzieć nic o sposobach dobowania soli w czasach najdawniejszych, w starożytności i początku średniowiecza. Wiadomości zaś źródeł pisanych odnoszą się już do czasów nieco późniejszych.

Jak w innych krajach tak i w Polsce warzenie soli wyprzedziło jej dobowanie sposobem górniczym. Na pytanie, kiedy rozpoczęto jej produkcję, stare dokumenty nie dają nam odpowiedzi. Znajdujemy w nich tylko, skape

zresztą, wiadomości o salinach już istniejących, ale nie mówią one nic o czasie ich powstania. Z najdawniej, bo już w X wieku, wspominanych w źródłach salin trzeba wymienić przede wszystkim Kołobrzeg. Dokument legata papieskiego zatwierdzający przywileje i posiadłości klasztoru tynieckiego, pochodzący z około 1125 r., wymienia saliny w Siedzynie, Wieliczce (nazwanej Magnum Sal), Łapczycy i Kojanowie. Mogłoby to świadczyć o dobowaniu soli w tych miejscowościach przynajmniej od wieku XI. Bulla papieska z r. 1136 wymienia salinę w Babicy pod Krakowem. W r. 1155 bulla papieża Adriana IV dla klasztoru w Czerwińsku wspomina warzelnię soli w Zgłowiączce na Kujawach. Wrączynek „cum sale” pojawia się pod r. 1173 w nadaniu Miesz-

ka Starego dla klasztoru cystersów w Łądzie, sfalszowanym w w. XIII. Salina w Bochni po raz pierwszy wymieniona jest w dokumencie Monacha, patriarchy jerozolimskiego z r. 1198, potwierdzającym nadania poczynione przez różne osoby na rzecz klasztoru bożogrobców w Miechowcie. Jednakże XIII-wieczne dokumenty stwierdzają, że gród krakowski miał prawo pobierania soli w Bochni „ab antiquo”, czyli od niepamiętnych czasów. W tym samym dokumencie Monacha występuje też „sal in Preuenchan” (prawdopodobnie Przebieczany).

Nie są to oczywiście jedyne saliny, jakie istniały w Polsce we wczesnym średniowieczu. Znamy ich więcej, tu zaś przytoczono tylko wzmianki najstarsze. Można też przypuszczać, że nie wszystkie czynne wówczas warzelnie trafiły do urzędowych dokumentów, zwłaszcza jeśli chodzi o małe, których produkcja zaspokajała jedynie potrzeby najbliższej okolicy, nie pozwalając na uposażenie kogokolwiek dochodami z nich.

Po odkryciu bogatych złóż soli kamiennej w Wieliczce i Bochni i założeniu kopalni, produkcji warzelniczej bynajmniej nie zarzucono. W Wieliczce np. stara warzelnia soli istniała jeszcze w XVIII wieku. Zlikwidowano tylko stopniowo mniejsze warzelnie, które zapewne przestały być opłacalne.

Sól kamienną odkryto w Bochni w r. 1251, w Wieliczce przypuszczalnie nieco później, ale na dłuższy czas przed r. 1290. Dąty te, zwłaszcza pierwsza, stwierdzone przez kilka współczesnych źródeł, nie budzą żadnych wątpliwości. Natomiast istnieją wśród badaczy różnice zdań co do tego, komu należy przypisywać to odkrycie. Znana legenda o pierścieniu św. Kingi pozwalałaby może przypuszczać, że odkrycia dokonali górnicy węgierscy, sprowadzeni przez tę księżnę dla ulepszenia żup solnych krakowskich. Niektórzy jednak poważni uczeni przypisują tę zasługę czynnikiem miejscowym, polskim.

Stare dokumenty dostarczają nam także nieco wiadomości o technicznej stronie eksploatacji soli w owych czasach.

Produkcję warzelniczą można odtworzyć na ich podstawie w takiej postaci: Solankę ze źródeł słonych lub szybów dobowano prawdopodobnie jak i w wiekach późniejszych skórzanymi worami, tzw. bulgami, umocowanymi na żelaznych obęczkach i zawieszonymi na linach. Następnie rurami drażnionymi w pniach drzewnych lub rynnami drewnianymi doprowadzano ją do specjalnych budynków zwanych wieżami. W tych wieżach zainstalowane były kotły (zwane cerunami a później panwiami), w których wygotowywano solankę aż do otrzymania stałego osadu. Panwie te były pierwotnie okrągłe, później czworokątne. Początkowo zawieszano je na łańcuchach, a w czasach późniejszych ustawiano na podmurowaniu.

Znacznie mniej mamy wiadomości o technicznych urządzeniach kopalni soli w XIII w. Musimy więc w odtwarzaniu ich korzystać i z przekazów późniejszych.

Jeśli chodzi o sposoby udostępnienia złoża, to dyplom lokacji Bochni z r. 1253 wspomina o sztolniach. Ze względu jednak na warunki terenowe można sądzić, że już od początku istnienia kopalni musiano bić szyby. Na podstawie pewnych wzmianek w statucie Kazimierza Wielkiego z r. 1368 przypuszcza się, że jeszcze w tym czasie spody szybów nie były ze sobą połączone i każdy szyb z wychodzącymi z podszymbia chodnikami stanowił oddzielną całość. Jeśli przypuszczenie to jest słuszne, to tym bardziej odnosiłoby się ono do stosunków XIII wieku.

O ilości poziomów kopalnianych w tym czasie nie mamy wiadomości.

Odbudowa¹ złoża prowadzona była raczej bezplanowo, jak o tym świadczą tzw. stare góry (najstarsze partie kopalni) w Bochni i Wieliczce. S. Fischer w swojej książce o Bochni pisze o nich: „Te „stare góry” to zdradziecki labirynt przepaściwych chodników i ciasnych szczelin, rozsuwających się tu i ówdzie w fantastyczne komory... Chodniki nie utrzymane w poziomie, to opadające w dół, to znowu podnoszące się nagle w górę, wytwo-



le pomaga podłączenie ich tu i ówdzie przez właścicieli do sieci elektrycznej, by podnieść wydajność. W nierównej walce z nowoczesnymi młynami parowymi, motorowymi i elektrycznymi wiatrakami muszą ustąpić im miejsca.

W wielu z istniejących wiatraków zachował się prosty, nie skomplikowany mechanizm złożony tylko z kół drewnianych, bez użycia żelaza, tradycjami sięgający czasów średniowiecznych.

Wiatraki należą do najstarszych obiektów budownictwa przemysłowego na Warmii, Mazurach i Powiślu. Niewiele ich już zostało, a okazy przetrwały do

naszych czasów uważać należy za zabytki i chronić przed zniszczeniem. Poznanie ich konstrukcji ma niemałe znaczenie dla badań historycznych nad rozwojem techniki.

Dlatego też rady gromadzkie PGR, spółdzielnie produkcyjne, i oczywiście władze powiatowe, na których terenie przetrwały do dziś wiatraki, a także konserwatorzy zabytków, powinni dbać o ich zachowanie, w miarę możliwości zabezpieczając je i chronić przed zniszczeniem i rozbiórką.

Alfons Klonowski

Zabytkowy wiatrak typu „koźlak” w Wodzianach pow. morąski wzniesiony w r. 1773.

Fot. Jan Samek

257, w 2(4) s. 4.

rzyły zagłębienia, w których zbierała się woda ściekająca obficie ze wszystkich ścian, a zwierciadło wody, podnosząc się z każdym tygodniem coraz bardziej, w końcu zamykało zupełnie przejście. Tu i owdzie chodnik urywa się przepaścią w grocie wkopaną w dół."

O obudowie bezpośrednich wiadomości nie mamy. Można tylko przypuszczać, że zastrzeżone na użytek żupy w dyplomie lokacyjnym Bochni drzewo z lasu wokół miasta przeznaczone było nie tylko dla warzelni, ale i na obudowę kopalni.

Pierwsze informacje, dotyczące sposobu urabiania i narzędzi, pochodzą już z czasów znacznie późniejszych, nie będziemy ich przeto tutaj omawiać.

Jeśli chodzi o wiadomości o środkach transportu, to z połowy XIV wieku pochodzi pierwsza wzmianka o używaniu tzw. ślągu, tj. liny z pętlami, na której zjeżdżali górnicy do kopalni. Służyły do tego celu liny z tyka lipowego, które w ogóle przez długi czas były w wyłącznym użyciu w kopalniach. Liny konopne wprowadzono dopiero w latach 1490—1504. Urobek transportowano w workach z wołowej skóry. Wydobywano je na powierzchnię zapewne za pomocą kołowrotów poruszanych przez ludzi, gdyż kieraty konne wprowadzono dopiero na początku XV wieku.

O wentylacji kopalni w tym czasie nie mamy wiadomości.

Do odwadniania używano może takich samych bulg skóranych jak do czerpania solanki.

Oświetlano kopalnię prawdopodobnie kagankami łożowymi.

Zródła pisane dostarczają nam również pewnych wiadomości o prawnych i administracyjnych stosunkach średniowiecznych żup solnych w Polsce.

W Polsce średniowiecznej sól, jak zresztą i inne kopaliny, była własnością monarchy, bez względu na to, na czym gruncie się znajdowała. Dobywanie jej przez prywatnych właścicieli gruntu wymagało specjalnego zezwolenia książęcego. Uwidacznia się to m. in. szczególnie wyraźnie w fakcie, że monarcha przenosząc własność ziemi na osoby trzecie zaznacza, że czyni to wraz z kopalnią, stąd częste w tekstach nadania słowa „cum sale“.

Jeśli chodzi o administrację książęcych żup solnych, to całkowity obraz panujących w tym zakresie stosunków znajdujemy głównie w statucie Kazimierza Wielkiego z r. 1368. Jest on jednak niewątpliwie w wielu punktach odbiciem stosunków panujących w żupach już w wiekach poprzednich.

Żupą zarządzał z ramienia księcia specjalny urzędnik — żupnik (zupparius). Mógł on być albo administratorem bezpośrednio podległym monarsze, albo też samodzielnym dzierżawcą. Trzeba zaznaczyć, że wypuszczenie żup w dzierżawę było stosowane częściej niż bezpośrednia administracja przez książęcych urzędników.

W ręku żupnika skupiała się cała administracja przedsiębiorstwa, w jego ręku tkwił monopol handlu solą. Czuwał on nad całokształtem spraw związanych z produkcją, nadawał — w porozumieniu z bachmistrem — działy kopalnie robotnikom, występował jako pośrednik między monarchą a pracownikami żup. Do niego należało ponadto sądenie przestępstw popełnionych przez czeladź górniczą na terenie żupy. On sam wyjęty był spod sądownictwa miejskiego i podlegał bezpośrednio monarsze. Ten sam przywilej przysługiwał pisarzowi i komornikowi żupnika.

Technicznym kierownikiem kopalni był bachmistrz (*magister montium*). Jako wykwalifikowany górnik budował on i urządzał nowe góry i kierował robotami kopalnymi przy pomocy podwładnych mu sztygarów. Zarówno żupa bocheńska, jak i wielicka miały odrębny dla każdej urząd bachmistrza.

Żupnik i bachmistrz stanowili wraz z podkomorzym krakowskim, będącym łącznikiem między królem a administracją żup krakowskich, zarząd główny żupy — magistratus montium.

Wśród podległych temu zarządowi pracowników saliny wyróżnić można kilka grup.

Przede wszystkim będą to wykwalifikowani robotnicy — zwarycze i rębacze (*coctores et sectores salis*). O pierwszych z nich — pracowników warzelni — nie mamy bliższych wiadomości. Drugi zajmowali wśród pracowników kopalni szczególnie uprzywilejowane stanowisko, posiadając dziedzicznie działki robocze (tzw. łoje), z których wyrabiana sól obowiązani byli sprzedawać żupnikowi. Obok nich stali piecowi² (*fornatores*), których zadaniem było wyszukiwanie nowych złóż soli. Do pomocy rębaczom służyli rotni, czyli tragarze, których zadaniem było wydobywanie na powierzchnię urobku.

Do grona urzędników administracji centralnej (*oficiales*) wchodził: podżupnik, karbny (kierownik warzelni zwanej karbarią), pisarze i sztygarzy.

Istniała wreszcie liczna grupa pracowników gospodarstwa żupnego, jak: szafarz, rządca, podrządca, klucznik, kucharz, o-dźwierni, leśni, palacze etc.

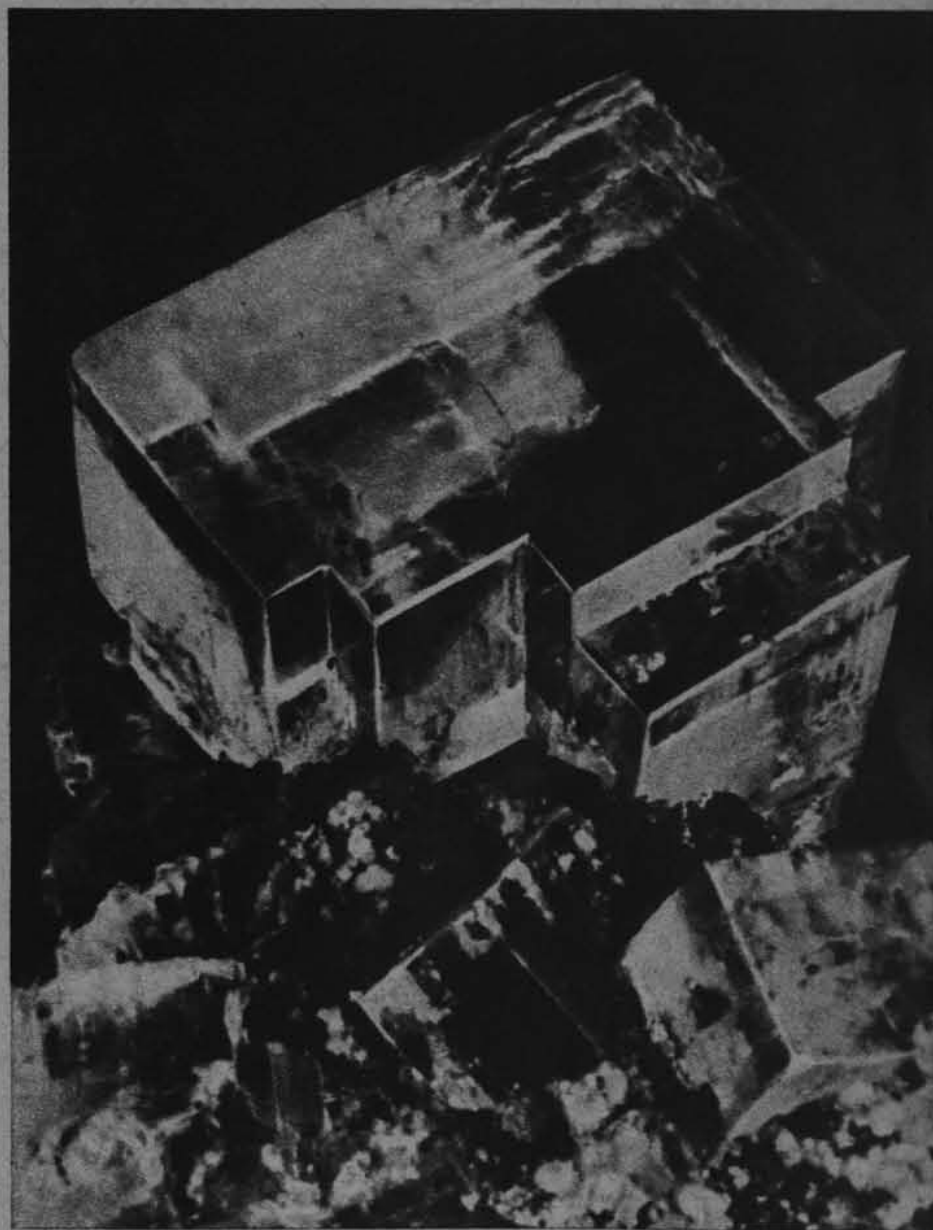
Osobną grupę pracowników stanowili tzw. otrocy, tj. pracownicy osadzeni w kopalni przez osoby prywatne, dla których na mocy specjalnego przywileju dobywali sól. Pojawili się oni jednak w kopalni dość późno, gdyż zezwolenia tego rodzaju zaczęto wydawać dopiero po śmierci Kazimierza Wielkiego.

Skład narodowościowy pracowników żupy był mieszany. Górnicy w ogóle stanowili w średniowieczu element nadzwyczaj ruchliwy i łatwo przenosili się z kraju do kraju. Już statut górniczy Leszka Białego z lat 1221—24 mówi o Włochach, Niemcach i innych cudzoziemcach. Akty fundacyjne szpitali dla górników w



Szczątki liny plecionej z tyka lipowego znalezione w jednym ze starych chodników kopalni w Wieliczce. Liny konopne wprowadzono dopiero w latach 1490—1504.
Fot. Alfons Długosz

Autor książki „Die Kristalle” p. Ebnhardt uznał olbrzymie kryształy soli wielickiej za jeden z dziwów przyrody.



Bochni i Wieliczce podkreślają, że zesłali się oni „ze wszech stron świata“.

Pracownicy ci zorganizowani byli w związkach brackich (*fraternitates*), przy czym rębacze tworzyli osobny związek (*fraternitas sectorum*), który zapewne miał duże znaczenie, jeżeli w statucie kazimierzowskim król zapewnia sobie wpływy na wybór starszych brackich.

* * *

Z biegiem wieków zmieniły się stosunki zarówno prawnoadministracyjne w kopalni, jak i jej urządzenia techniczne. Nie wszystkie jednak urządzenia dawne usuwano przy wprowadzaniu nowych. W wyeksploatowanych już partiach kopalni pozostawiano je po prostu na miejscu, nie troszcząc się o ich dalsze losy.

Dzięki temu, że sól konserwuje doskonale substancje organiczne, wykonane z drzewa narzędzia i maszyny kopalniane dotrwały tam do naszych czasów. Obecnie zaś od kilku lat wydobywa się je i gromadzi w Muzeum Salinarnym w Wieliczce. Muzeum to, rozrastające się stale, obejmuje w tej chwili trzy sale poświęcone historii kopalni, dawnej technice górniczej i geologii złóż soli. Dzięki temu zaś, że mieści się w obrębie samej kopalni, w zestawieniu z jej nowoczesnymi urządzeniami, unaocznia szczególnie jaskrawo twórczą działalność człowieka na tym polu.

Helena Burchard

¹ Odbudowa — sposób wybierania minerału w złożu.

² Nazwa pochodzi od słowa „piec” = chodnik w ówczesnym słownictwie górniczym.

W obronie Puszczy Augustowskiej

Niewiele w naszym kraju pozostało dziś z dawnych puszczy, mimo że Polska należała niegdyś do krajów o największym procencie lasistości w Europie. Rabunkowa gospodarka władz carskich, a następnie okupantów niemieckich i wreszcie nieudolność dzisiejszej administracji prowadzi do nieuchronnej katastrofy naszych lasów. Przykładem jest Puszcza Augustowska, która stanowi dziś nadal jeden z najpiękniejszych po Puszczy Piskiej i Białowieskiej kompleksów leśnych w naszym kraju (116 000 ha). Na terenie Puszczy Augustowskiej — obecnie poważnie zdewastowanej przez dwie wojny światowe oraz rabunkową gospodarką (bądźmy szczerzy) okresu po wyzwoleniu 1945 r. — dominują dziś drzewostany sosnowe i świerkowe, odnawiane w większości już tylko rękami człowieka. Pozostały jednakże, głównie w miejscach trudno dostępnych tzw. relikty pierwotne, puszczańskie, stanowiące dziś unikaty już

nie tylko w skali krajowej, ale i europejskiej. Wymieńmy tu chociażby takie uroczyska i rezerwy, jak: Uroczysko „Starożyn” koło Mikaszówki, uroczysko „Kozim Rynek” w nadleśnictwie Balinka, uroczysko „Powstańce” nad rzeką Blizną w nadleśnictwie Szczebra, odznaczające się niesłychanym bogactwem gatunków i form drzewostanów, posycia i runa leśnego. W obrębie puszczy znajduje się wiele charakterystycznych torfowisk wysokich, badanych obecnie rokrocznie przez naszych naukowców. W wielu uroczyskach występują tak rzadkie już dziś okazy, jak cis (nadleśnictwo Szczebra) i modrzew w nadleśnictwie Białobrzegi oraz szereg starych drzewostanów (po 150—300 lat) dębowych, jesionowych, grabowych itd. Na terenie puszczy obrały sobie siedzibę, rzadko dziś w naszej faunie spotykane zwierzęta, jak: łos (w „Czerwonym Bagnie” i „Kozim Rynek”) jeleń, wydra, gluszc, łabędź głuchy i wiele innych.

Niestety, eksploatacja lasów augustowskich przybrała ostatnio zastraszające rozmiary. Przewyższa ona (tak!) swymi rozmiarami eksploatację z okresu międzywojennego. Etaty rębne są tu dziś o 100% wyższe od przedwojennych. Dla przykładu, w samym tylko nadleśnictwie rejonu lasów państwowych w Augustowie, tnie się 35 000 m³ drzewa, gdy etat rębny w tym nadleśnictwie planowo dozwolony wynosi 22 000 m³. Na domiar złego nadleśnictwo to otrzymało jeszcze od władz zwierzchnich pismo domagające się podniesienia limitu eksploatacji.

Pięknemu świerkowi i gonnej, masztowej o wąskich koronach sośnie augustowskiej grozi zagłada na skutek gwałtownego przeredzenia i odkrywania ściany lasu przez zręby, co przy płytkim systemie korzeniowym świerka powoduje liczne wywroty i wiatrolomy. W samych tylko nadleśnictwach Balinka i Mikaszówka (rej. lasów państw. Augustów) oblicza się wywroty na około 20 000 m³ drewna, głównie świerka i sosny. Nie trzeba tu chyba dodawać, że powalone drzewa stają się pożywką dla szkodliwych owadów, które z kolei atakują zdrowe drzewostany. Zarządzenia ochronne, jakie dotychczas

zachowywano, dotyczyły głównie zabezpieczenia tzw. pomników przyrody, tj. starych okazów drzew oraz zachowania leśnych pasów przybrzeżnych, wzdłuż jezior augustowskich, chociaż tu i ówdzie zdarzały się wypadki, jak np. nad jeziorem Białym, pozyskiwania żywicy z tych pasów. Są to jednak zupełnie nie wystarczające środki ochronne.

Jakież są środki zdolne do uratowania dla przyszłych pokoleń bogactwa i piękna Puszczy Augustowskiej. Oto one:

1) Natychmiastowe zahamowanie nadmiernej eksploatacji.

2) Walka o odnowienie puszczy i jej zdrowotność oparta na naukowych podstawach, prowadzona pod hasłem: w pierw odnowa — później eksploatacja.

3) Wydzielenie najbogatszych i najrzadziej spotykanych w naszym kraju, uroczysk w postaci rezerwatów częściowych lub całkowitych. Należałoby również wprowadzić tam ich naturalnych, ginących już mieszkańców: łosia, dzika, gluszcza, bobra itd.

Nie dopuśćmy do marnotrawstwa, którego nie darowałyby nam kiedyś przyszłe pokolenia.

Andrzej Wyszowski



↑ Muzeum Śląska opolskiego zajmuje jeden z najstarszych budynków w Opolu

Fot. St. Bober

↓ Herby Prószkowskich i Lobkowiców wmurowano w ścianę Ironową budynku Muzeum Śląska Opolskiego

Fot. Jan Herold



Najstarszy dom w Opolu

Jan Herold

Krótką, wąską, wybrukowaną dużą granitową kostką, typowo staromiejską uliczka wiedzie z opolskiego rynku do kościoła „Na Górcie”. Uliczkę tę zamykają szerokie schody prowadzące pod sam kościół. U stóp tych schodów znajduje się jeden z najciekawszych (poza szeroko znanymi wykopaliskami), obiektów zabytkowych Opola — najstarszy murowany budynek miasta, liczący sobie lat z górą 500. W tym oszczędzonym przez zawieruchę wojenną zabytku budownictwa obecnie znalazło siedzibę Muzeum Śląska Opolskiego.

Ciekawe są dzieje tego budynku, a właściwie dwóch, ponieważ dopiero około 255 lat temu dwa sąsiadujące ze sobą budynki zostały nakryte wspólnym dachem.

Właścicielem domu leżącego bliżej kościoła był około roku 1600 (w starych aktach jest już on notowany w roku 1435) lekarz i aptekarz Elias Kuncjusz. W 58 lat później nieruchomość znalazła się w posiadaniu Jana Blankowskiego z Turawy, od którego w drodze zamiany przeszła w roku 1670 do zakonu jezuitów.

Budynek leżący po stronie zachodniej, większy od sąsiedniego, jest notowany w aktach w roku 1480, a wiadomo, że w roku 1509 należał do hr. Jana Prószkowskiego — seniora. Stąd na frontowej ścianie budynku do dnia dzisiejszego widnieją herby Prószkowskich i spokrewnionych z nimi Lobkowiców. Jeden z następców wyżej wymienionego Prószkowskiego, Jan Krzysztof podarował go w roku 1667 jezuitom. Ci zaś w ostatnich latach XVII wieku, prawdopodobnie około roku 1698, przebudowali obydwa domy i połączyli je w jedną całość, nakrywając wielkim wspólnym dachem. Powstał wtedy budynek o trzech kondygnacjach. Někany,

pożarami w latach 1739 oraz 1762, został odbudowany już tylko do wysokości jednego piętra.

Na skutek kasaty zakonu w roku 1773 państwo pruskie przejęło budynek pod swój zarządek. Urządzono w nim mieszkania dla profesorów pobliskiego gimnazjum, którzy mieszkali tu do roku 1816, z wyjątkiem lat 1813—1814, kiedy to znajdował się tam rosyjski szpital wojskowy. Od roku 1816 stał się siedzibą miejscowych władz rządowych. Wówczas to dokonano koniecznej przebudowy dla przystosowania budynku do celów urzędu. W związku z wybudowaniem w roku 1833 nowego gmachu rządowego i przeniesienia tam wszystkich urzędów, opustoszała nieruchomość miano wynająć. Ponieważ jednak nie było lokatorów chętnych do zamieszkania tam, kupił ją władze miejskie w roku 1837 za 1900 talarów. W zachodniej, większej części urządzono szpital miejski, a mniejsza, wschodnia, została wynajęta na mieszkanie. Od roku 1919 do 1932 znajdowały się tutaj ponownie mieszkania prywatne, a w roku 1932, po odnowieniu i odpowiedniej przebudowie całego budynku, urządzono na parterze bibliotekę miejską, na piętrze pomieszczono muzeum miejskie. Całkowite przeznaczenie budynku na cele muzealne nastąpiło dopiero po wyzwoleniu w roku 1945. Obecnie mieści się tu Muzeum Śląska Opolskiego.

W teraźniejszej postaci, mimo licznych zmian dokonanych w ciągu wieków — budynek muzeum wykazuje zewnę-

Dokończenie na str. 24



← Wzniesiony w XIV wieku gotycki zamek biskupów warmińskich w Lidzbarku. W latach 1774—1795 przebywał tu biskup Ignacy Krasicki.

Fot. Tadeusz Chrzanowski

↓ Zamek w Lidzbarku wg litografii wykonanej ok. 1830 r. Część pałacowa dobudowana została w wieku XVII przez biskupa Wydzgę.

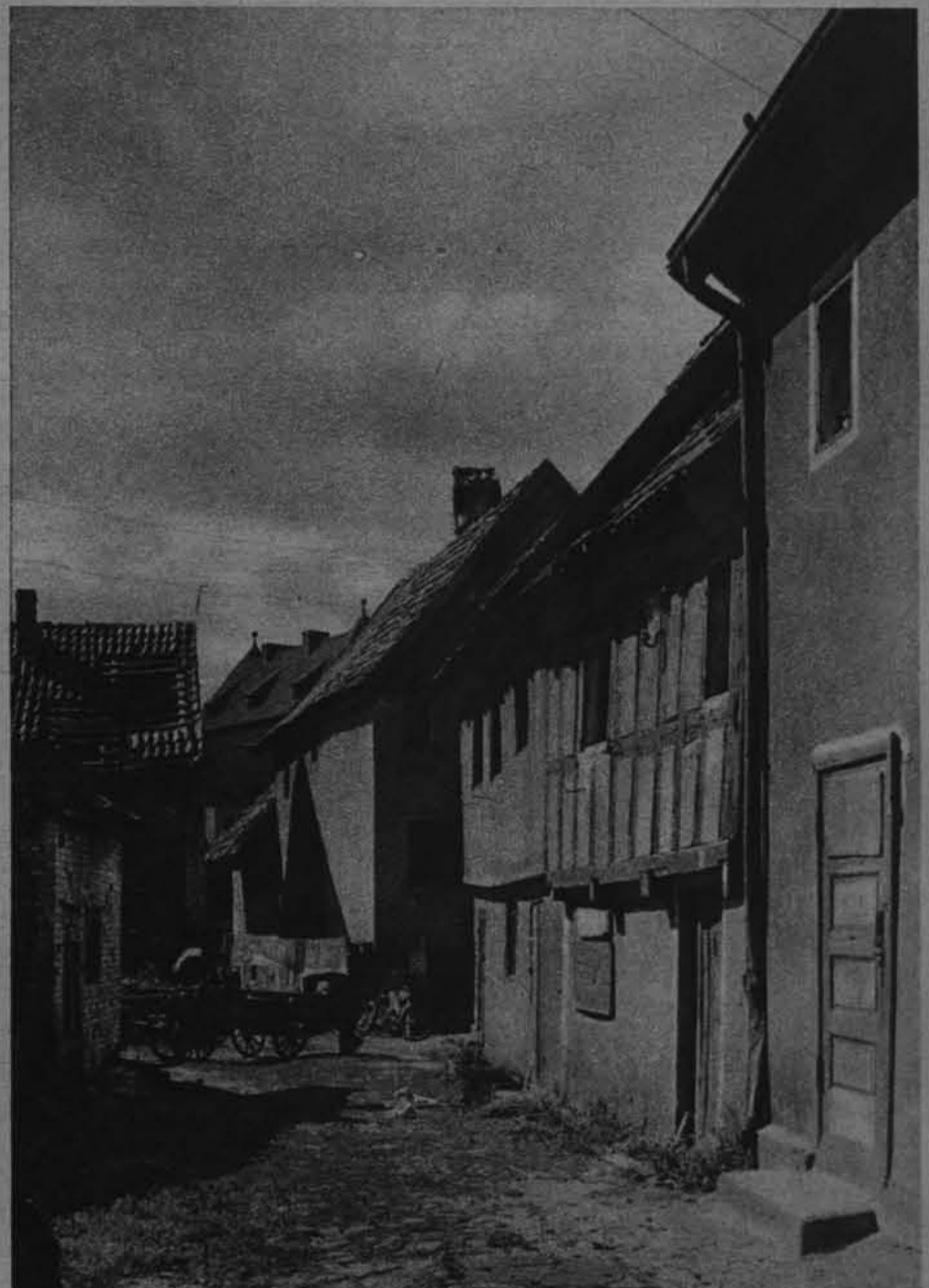
Fot. Tadeusz Chrzanowski

↓ Zaulek staromiejski w Lidzbarku. Podczas wojny znaczna część miasta legła w gruzach, jednak wiek niektórych zachowanych kamieniczek z otoczenia zamku sięga 400 lat.

Fot. Tadeusz Chrzanowski

W LIDZBARKU WARMIJSKIM

Józef Dużyk



„Lecz kto się treściwymi chce
rymami wslawić,
Ten musi dzień choć jeden
w Heilsbergu zabawić.
Tu nasz prawdziwy Parnas,
nasze Hipokreny,
Tu miłe swoją słyną bujnością
Kameny”.

— wołał w roku 1784 Trembecki w
wierszu zatytułowanym „Gość z Heils-

bergu”, a napisanym na powitanie
Ignacego Krasickiego w Warszawie.

W roku 1308 Lidzbark, przez Niem-
ców Heilsbergiem zwany, otrzymał
prawo miejskie, a od r. 1350 był re-
zydencją biskupów. O mury miasta
niejednokrotnie ocierały się wojenne
pożogi. Oto gdy w sierpniu roku 1414
Jagiello z wojskiem dotarł pod Lidz-
bark, Długosz pisze, że „z Dobrego
Miasta król z wojskiem ruszył pod

Heilsberg, miasto biskupa warmij-
skiego, kędy w dzień Wniebowzięcia
N. Maryi Panny stanął obozem. A gdy
niektórzy z chłopstwa czeladzi obo-
zowej mało zważając na dzień świę-
teczny, bez rozkazu króla i jego do-
wódców zapędzili się ku miastu dla
rabunku, załoga miejska spostrzegł-
szy małą garstkę nieprzyjaciela, wy-
padła na nich i ono chłopstwo wy-
mordowała, tak iż niewielu zdołało

ujść pogromu”. XIV-wieczny gotycki
zamek biskupów warmińskich unik-
nął zniszczeń w czasie ostatniej woj-
ny, mimo iż podczas walk w gruzach
legła znaczna ilość budynków w mie-
ście. Wielki czworobok zamku, opię-
ty trzema wieżyczkami i wysoką ba-
szcią, góruje nad skupionym u jego
podnoża malowniczymi kamieniczka-
mi, sięgającymi niekiedy wiekiem i
400 lat.



1



2



3

1 Oranżeria wzniesiona przez Ignacego Krasickiego w założonym przez niego ogrodzie zamkowym w Lidzbarku.

Fot. Tad. Chrzanowski

2 Sklepienia parterowej sali w gotyckiej części zamku lidzbarskiego, wspierające się na niskich kolumnach.

Fot. Tad. Chrzanowski

3 Wyjście na krużganek zamkowy z kaplicy.

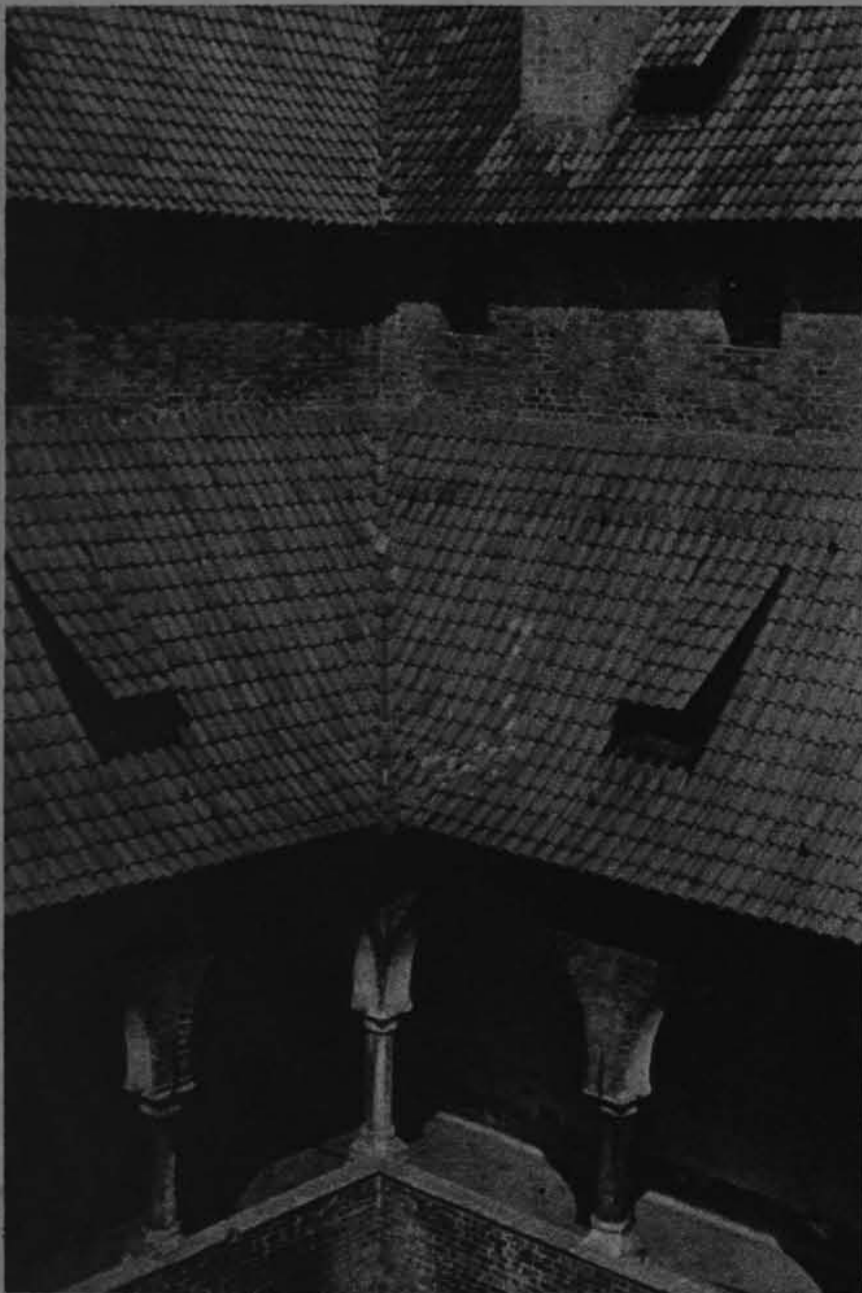
Fot. Tad. Chrzanowski

4 Dachy nad krużgankiem piętra. Fragment krużganku wokół dziedzińca zamku w Lidzbarku.

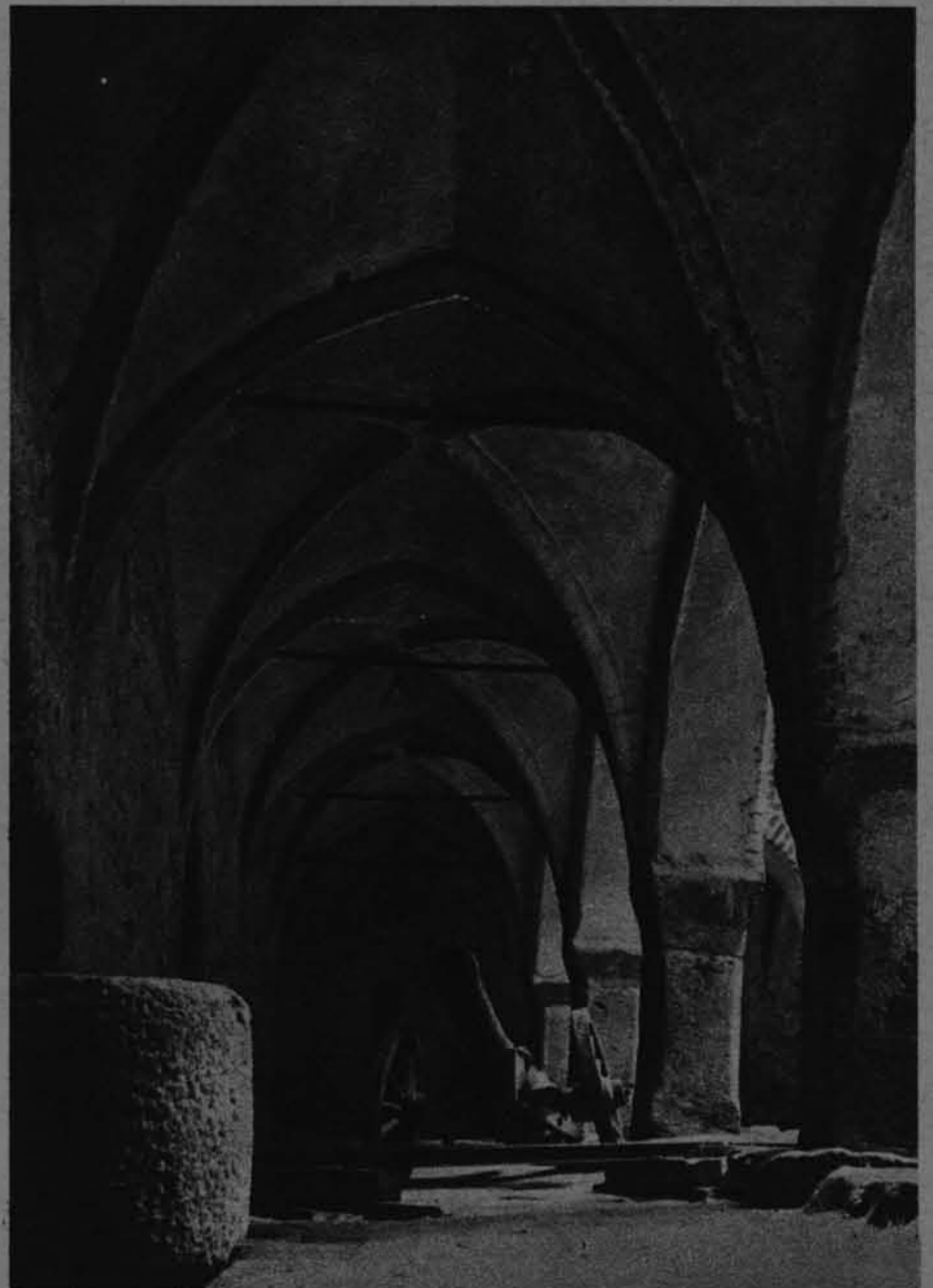
Fot. Jan Czeż

5 Krzyżowe sklepienie krużganków parteru. Fragment parterowej części krużganku dziedzińca zamku w Lidzbarku.

Fot. Tad. Chrzanowski



4



5

Po dziś dzień lidzbarski zamek urzeka swym pięknym architektonicznym, swym gotyckim krążankiem, swymi salami z żebrowymi sklepieniami i średniowiecznymi kamiennymi ozdobami, swą kaplicą z gwiaździstym sklepieniem i doskonale zachowanymi dwukondygnacyjnymi piwnicami... Tu w podziemiach przy świetle wypalających się szybko zapalek widzimy jak na najlepszym rysunku przedziwnie doskonałą architekturę zamku. Gotyckie łuki piwnic przypierają aż do ziemi, w parterowej sali spacerujemy już niskie kolumny, a eleganckie, wysmukłe na pierwszym piętrze krążanków. Zamek posiada również swe ponure zakątki. Oto np. z ogromnej jasnej sali wchodzi się do ciemnej klitki, w której majaczy czarny otwór i kołowrot do spuszczenia więźniów.

W XVII wieku od południowej strony zamku biskup Wydźga dobudował barokowy pałac, w którym odtąd mieszkali polscy biskupi.

W lidzbarskim zamku pisał swoje historyczne dzieła i tu zmarł Marcin Kromer, ale chyba najbardziej rozślawił Lidzbark mistrz satyry, Ignacy Krasicki, który tu jako biskup warmijski mieszkał i pracował w latach 1774—1795. Tu na zamku lidzbarskim biskup-poeta pochylał się nad białą

kartą papieru, sięgał po pióro i umaczawszy je w inkaucie ustawiał w ordynku posłuszne mu rymy. I jeżeli nawet Trembecki przesadzał uważając Lidzbark za stolicę ówczesnego piśarstwa polskiego, to w każdym razie dla Krasickiego 20 lat lidzbarskich były najpłodniejszym okresem piśarskim. Wszak tu powstały najlepsze utwory stanisławowskiego poety, takie jak *Myszels*, *Monachomachla*, *Przypadki Doświadczyskiego*, *Satyry* i *Bajki*.

A zamek w okresie pobytu Krasickiego ożył, stał się barwną dekoracją dla jego piśarskich poczynań. Z tego okresu, z lat 1790—92 dochował się do dnia dzisiejszego tzw. *Dariusz z Heilsberga*, który wyszedł spod pióra ks. Foxa, sekretarza i bibliotekarza Krasickiego. Pisany w odcinkach, przesyłany był następnie diariusz tęskniący za Lidzbarkiem bratanicy poety, Annie z Krasickich Michałowej Charczewskiej, utalentowanej malarce, która podczas pobytu w Lidzbarku ilustrowała stryjową *Monachomachlę*.

Zamek kipiał życiem. Krasicki, wytworny esteta, prowadził żywot wystawny, reprezentacyjny, szumny. Przyjęcia, fety, koncerty były chlebem powszednim na biskupim zamku. Oto co pisze ks. Fox: „Rano wszy-

scyśmy pili kawę u ks. Kremera, po kawie było wino, tort, co kto chciał”. Nie żalowano sobie, urozmaicano menu, spożywano najróżnorodniejsze przysmaki: „indyki, sarny, zające, dziki, pstrągi, szparagi, bażanty czeskie, ostrygi, gęsi stargardzkie, kawior”. A przy tym bawiono się. Bale nieraz trwały do późnej nocy: „W zamku teraz muzyka nie ustająca. Różne instrumenty brzmią od rana do wieczora”. Poza tym biskup-poeta czytał nieraz swoje utwory, urządzał wieczory literackie: „Książę Jegomość przeczytał nam z łaski swojej wiersze, co wczoraj był napisał z okazji odebranych wierszy z Warszawy”. Toteż Lidzbark stał się rozkosznym miejscem pobytu dla przybywających tu gości i wcale się nie dziwimy, gdy skromny ksiądz Bocheński z Poznańskiego powiedział: „Zdaje mi się, że będąc w Heilsbergu jestem w raju”.

Krasicki — jak zresztą na poetę przystało — kochał przyrodę. Koło zamku założył piękny ogród. Ks. Fox pisze o istniejącej w ogrodzie tzw. „encyklopedii drzew”. Troska o utrzymanie ogrodu przewija się nawet w listach Krasickiego do znajomych. W jednym z nich pisze: „Niedługo cieszyłem się moim ogrodem, uważałem go za uroczy; w trzy dni po moim przybyciu straszliwy huragan spustoszył

go całkowicie. Moje drzewa, moje wodospady, moje kanały, wszystko poszło, trzeba mi zaczynać od początku. Gdybyś Pan był poetą, prosiłbym cię o napisanie epitafium, nie mam serca sam tego uczynić”. A znowu w innym: „Nie uważając na wojnę, koło ogrodu się krzątam jak najżywiej, kwiatki i drzewka sprowadzam...”

Wraz z odjazdem karety Krasickiego niknie świetność lidzbarskiego zamku. Zamek pustoszeje, ogród zostaje zaniedbany. Dziś już ani śladu nie zostało z owej „encyklopedii drzew”.

Podobnie jak zabytkowe kamieniczki rozsypujące się w gruzy u podnóża zamku, tak i sam zamek lidzbarski wymaga gruntownego remontu. Ponadto można by w nim stworzyć ośrodek dla artystów lub literatów. A może w dawnej ulubionej siedzibie poety utworzyć należałoby muzeum Krasickiego? Zainteresowanie się wspaniałym zabytkiem sztuki średniowiecznej, a zarazem zabytkiem polskości tej ziemi byłoby chyba najlepszą formą uczczenia pamięci XVIII-wiecznego pisarza.

Józef Dużyk

MONS GRODZYSKO

Historia odkrycia grodziska z początków istnienia państwa polskiego w dolinie Wiaru jest krótka. Na ślad jego istnienia naprowadził krakowskich archeologów przekaz pisemny z Akt Grodzkich i Ziemińskich z r. 1543. Był to protokół z działalności komisji limitacyjnej, rozdziałającej włości dwóch wadzących się rodów szlacheckich: Kopystyńskich i Komarnickich. W opisie granic wsi: Kopyšno, Rybotycze i Posada Rybotycka natrafiono na zdanie: „...usque ad silvam sub monte Grodzysko illicque signa in arboribus sunt incissa et scopuli facti spetem usque ad rivulum Grodzysko et ab eodem recte sursum penes montem Grodzysko...”. Oznacza to, że istniała wówczas nazwa topograficzna — Grodzisko — określająca jakieś wzgórze i strumień, położone jak z kontekstu wynika — pomiędzy potokami Brzoska, Czyeczyorka i Tatarynow. A zatem w XVI w. zachowały się jeszcze w tradycji miejscowej ludności jakieś niejasne wspomnienia o opuszczonej warowni.

Odnalezienie w terenie interesującego nas miejsca nie było wcale łatwe. Nowi osadnicy tej części powiatu przemyskiego nie byli zorientowani w dawnym miejscowym nazewnictwie. Samo zresztą ukształtowanie i zagospodarowanie terenu (na pół dzikie, zarośnięte pola-połoniny, gęstym lasem pokryte wzgórza) stwarzało poważne przeszkody

w poruszaniu się i rozpoznaniu archeologicznym. Nawet z tak dogodnego punktu obserwacyjnego, jak wieża triangulacyjna na najwyższym w okolicy wzniesieniu Kopystańska (541 m n. p. m.), nie pozwoliła wyróżnić wśród szeregu pagórków poszukiwanego „mons Grodzysko”.

Wreszcie przypadkiem napotkany był softys Posady Rybotyckiej, jeden z nielicznych dawnych mieszkańców, Mikołaj Nienadowski, potrafił udzielić informacji o lokalnej nomenklaturze topograficznej. Choć nazwy Grodzisko nie znał, dopomógł jednak w lokalizacji poszukiwanego obiektu przez wyliczenie używanych dziś nazw potoków, dopływów Wiaru. Okazało się, że ze wspomnianych w dokumencie z 1543 r., a ważnych dla prowadzonych badań nazw strumieni żyją jeszcze następujące: Brzózka, Cieciorki, Zura-wiec (albo Zurawcy). Płynący pomiędzy nimi potok Grodzisko (z przekazu XVI-wiecznego) określany jest obecnie mianem Grabnika, a góra, spod której wypływa, zwie się, bądź Grabnik, bądź ... Zamek (!)

Do miejsca tego przywiązanych jest wiele podań, między innymi o istnieniu podziemnego przejścia do Dobromila i do zamczyska przy folwarku w Rybotyczach, o zasypanej studni, zapadniętych żelaznych drzwiach itp. Po tych wskazówkach nie ulegało już wąt-

pliwości, że tajemniczego grodziska szukać należy na wzgórzu odległym o 2,5 km na północ od wsi, u źródeł potoku Grabnik.

Po przybyciu na miejsce stwierdziliśmy, że jest to dość strome wzniesienie, porośnięte młodym, głównie bukowym lasem, z gęstym podszyciem leszczynowym. Głęboka fosa od strony południowej i zachodniej wyodrębnia centralną partię najwyższą, tworząc owalną przestrzeń o średnicy 84×62 m, pofalowaną niewielkimi garbami i zapadlinami. Wyraźniejszych jednak śladów obwałowań naziemnych nie da się zauważyć. Geologiczne podłoże góry tworzy piaskowiec, który w ostatnich czasach eksploatowano w niewielkiej odkrywcze na południowej, wewnętrznej ścianie fosy. Pozostałością tego jest stos kamienia leżący na dnie fosy. Ponad calcem skalistym na cienkiej warstwie jałowej glinki zalega warstwa kulturowa grubości około 35 cm. W dwóch sondażowych wykopach znaleziono liczne ułamki ceramiki wczesnośredniowiecznej, którą można datować tymczasowo na w. X—XIII. Przypuszczalnie i czas funkcjonowania grodu można wiązać z tym okresem.

W odkrytym obiekcie nie stwierdzono istnienia wałów zapewne doszczętnie już zrujnowanych. Uważać go jednak należy za stanowisko obronne, gdyż:

po pierwsze — już samo położenie na wyniosłej górze o stromych, niekiedy urwistych zboczach czyni punkt ten z natury predestynowanym do założenia tu grodu;

po drugie — stosunkowo dobra widoczność okolicy, zwłaszcza na południe i wschód w kierunku doliny Wiaru i wsi Rybotycze, stwarza doskonale warunki obserwacyjne i możliwość kontrolowania znacznych odcinków terenu;

po trzecie — nasycona zabytkami warstwa kulturowa oraz resztki fosy świadczą wreszcie o istnieniu tu osadnictwa i określają wyraźnie jego charakter.

Na podstawie dotychczasowej naszej wiedzy o roli grodów w tworzącym się organizmie feudalnego państwa można przypuszczać, że wczesnośredniowieczna warownia w Kopyśnie pełniła nie tylko funkcję strategiczną na pograniczu polsko-ruskim czy polsko-pieczyskim, ale była najpewniej także ośrodkiem życia ekonomicznego okolicy. Trudno dziś stwierdzić, jakie były przyczyny upadku grodu. Liczyć się należy zarówno z możliwością zagłady w czasie walk (choć brak zwykłych w tych warunkach śladów spalenizny), jak z utratą dawnego znaczenia z powodu przeobrażeń polityczno-gospodarczych. Być może, że wyjaśnią to — choćby częściowo — dalsze projektowane badania.

Helena Zollówna

TARCZEK

Tarczek — to niewielka wieś, położona nad rzeczką Świśliną (vel Psarką), cztery kilometry za Bodzentynem w kierunku na Świętomarz.

Nie zawsze jednak Tarczek był wsią; a metrykę ma starą. Jeżeli ufać zachowanym wzmiankom — na miejscu obecnego Świętomierza, zwanego też



KOŚCIÓŁ W TARCZKU.

Starym Tarczkiem, istniała już w czasach pierwszych Piastów osada targowa, w której wymieniano produkty otaczających ją puszczy. Ów Świętomierz, czyli — jak pisano w średniowieczu — Swyanthymarz, miał być zresztą wedle Długosza ośrodkiem kultu słowiańskiej Marzanny; po chrystianizacji kraju kult przeniesiono na osobę N. Marii Panny i stąd trwałość odwiecznej nazwy osiedla, stapiającej w sobie pogaństwo z nową wiarą. Sam Tarczek rozwijał się z rozmachem po przeniesieniu na nowe miejsce; w XI w. jest już siedzibą kasztelanii, w XII w. przechodzi w ręce kapituły krakowskiej, by w następnym wieku stać się bogatym miastem biskupim. Ale w XIV w. szczęście odwraca się od Tarczku. Oto biskup Bodzanta przenosi miasto z Tarczku na nowe miejsce, zakładając Bodzentyn. To przekreśla karierę miejską osady.

Z czasów swej krótkotrwałej świetności przechował Tarczek jedną tylko pamiątkę: późnoromański kościółek św. Idziego. Zbudowano go w latach ok. 1220—1240, w smutnym okresie chaosu i rozbicia dzielnicowego. Kościółek zachowuje pewne resztki założeń wcześniejszych, świadczących, iż mimo swego sędziwego wieku, nie jest bynajmniej pierwszą na tym miejscu budowlą. Wzniesiony ze starannie obrobionych ciosów kamiennych, stanowi ciekawy przykład prostego, prowincjonalnego budownictwa romańskiego, mimo zmian, które przynosił mu mijający czas i

kolejne zniszczenia. A zmian owych było sporo. Większość z nich — a więc bezstylowa kruchta przy elewacji południowej, okna częściowo poszerzone w epoce baroku, zniszczony wschodni szczyt nawy, nowa sygnaturka na dachu i nowe, rażące pokrycie blachą cynkową — ma być w najbliższej przyszłości odmieniona na rzecz przywrócenia kościołowi wyglądu możliwie zbliżonego do stanu pierwotnego.

Odbudowując i przebudowując tę zabytkową budowlę konserwatorzy nie zapomną zapewne i o zachowanych sporych fragmentach gotyckich i renesansowych polichromii, a także o pięknym, choć mocno nadniszczonym, późnogotyckim tryptyku.

Cóż, kiedy niestety tyle szczegółów przepadło z dawnego bogatego wyposażenia kościoła, o których mówią stare opisy w archiwach. Zaginęła „Statua Najświętszej wisząca na szrodku kościoła w promieniach z Aniołami” i „Krzyż z osóbkami dwiema”, gdzie „pod Koroną był Melchisedech pozłocisty” — nie licząc kielichów, zdobionych „w różne floresy”.

Przerzedziły się też mocno — a szkoda — wiekowe drzewa, otaczające dawniej kościół. Widział je jeszcze w r. 1886 i uwiecznił w swym drzeworycie Andriolli. Jest to jedyne zachowane przedstawienie kościółka tarczeńskiego, pochodzące z dawniejszych lat.

T. ZYCHIEWICZ

Ziemia... Ziemia...

Felieton poniższy pochodzi z doskonałego zbiorku „Zero do kółka” wydanego przez Sport i Turystykę. Żartobliwy utwór kończy się kapitalnym apelem do „fachowców”. Mamy nadzieję że „insze historycy” odpowiedzą nań i pomogą rozwiązać problem legendy Jana z Kolna.

— Słyszalesz pan o niejakim Kolińszczaku, którego Amerykowie odkryli? — rzekł do mnie podczas zwykłego niedzielnego spaceru po Warszawie, przyjaciel mój i historyk-amator, pan Teoś Piecyk.

— Owszem, czytałem, ale nazywają go Janem z Kolna lub Scolnusem, a w ogóle cała ta sprawa pogrążona jest w mrokach dziejów i historycy bardzo niewiele wiedzą o wspomnianych odkryciach naszego żeglarsza, który stanął na lądzie amerykańskim na długo przed Kolumbem.

— Czy insze historycy wiedzą o nim dużo, czy mało, to dla nas rzecz obojętna, jak go nazywają także samo nam wszystko jedno. My go w skróceniu nazywać będziemy Kolińszczakiem, a jak to było z niem i z Kolumbem, jako ludzie w szkołach kształcone, możemy sobie bardzo łatwo przedstawić. Jak wiemy, ten Kolumb był właścicielem żaglowej berlinki, na której dostarczał towary kolonialne, a także samo nabiał do Hiszpanii. Jako prywatna inicjaty-

wa z handlowej branży, posiadał dużo forsy i był oblatany w najlepszym towarzystwie, rzecz jasna na tamte czasy.

Do hiszpańskiego króla wchodził do stołowego pokoju bez stukania, ile razy mu się zamarzyło. Często gościł śniadanie nawet królowi opędzłował, jak mu się udało zabajerować opowiadaniem o ciepłych krajach, z których wiktuały sprowadzał.

Raz tak siedzą sobie przy literku hiszpańskiej malagi, zagryzają rodzenkami i król się odzywa w te słowa:

— Szara nuda, cholera, jeździsz po tych morzach tam i nazad i stale, i wciąż co przywozisz — rodzyński? Już czkawki się od nich dostaje, odkryłbyś jakie Amerykowie albo co. Ale bo ty potrafisz. Murzynów w karafkach nabijać na wadze, to jesteś mądry, ale żeby tak coś odkryć, to zdechl pies.

Obrazil się Kolumb i mówi:

— Skarz mnie Bóg, odkryje te Amerykowie.

— Co ty odkryjesz, co ty odkry-

jesz? — jak masz takie smykalkie, to postaw sztorcem jajko!

— Proszę bardzo, to dla mnie mięta — mówi na to Kolumb. Wyjmuje z kieszeni jajko, bo zawsze parę sztuk miał przy sobie w charakterze próbek, skoczył do kuchni, ugotował na twardo, przylata nazad, obral odkrajał nożem czubek, postawił jajko sztorcem na cecuracie i pyta się:

— Stoi?

— No, stoi — odpowiedział mu na to król. — Cwaniak jesteś, zagiałeś mnie nielicho, ale mimo tego kudy ci tam jeszcze do odkrycia Ameryki, lebiego, niewidymko.

To już Kolumba nagła krew załala, posolił jajeczko, popieprzył cośkolwiek, wtroił, a potem zaznacza:

— Kiedy tak, to dzisiaj jeszcze wyjeżdżam i w krótkich abcugach odkryje te całą Amerykowie.

I faktycznie, wyjechał, zapychał po morzu tam i nazad, aż cholera zabłądził, matrosy o mały figiel po mordzie mu nie dali, bo jeżdżą już ładne pare miesięcy, a tu nie ma gdzie wysiąść, krugom wacha i wacha.

Aż jednego razu o szóstej rano Kolumb jeszcze w najlepszym kimal w kałucie, kiedy słyszy głos:

— Ziemia, ziemia!

Na razie ze snu się zerwał i myślał, że jest w domu w tem Madrycie i że ziemię do kwiatków na ulicy sprzedają. Wyjrzał przez okienko, krzyknął:

— Nie potrzeba — i znowu chciał w kimono uderzyć.

Ale załoga go za krawat wytaszczy-

ła na pokład i pokazuje, że jakiś brzeg widać. Przetarł oczy — faktycznie widać, no to krzyczy:

— Pych do ładu!

Jak berlinka dobiła, wychodzi Kolumb na piasek i mowca zawala.

— Odkryłem Amerykowie!

A tu z krzaków pokazuje się nieduży facet z bródką, w maciejówce i w staroświeckiej bekieszce i nadmienia:

— Coś odkrył, coś odkrył, ciapciaku, ja tu już szesnaście lat zamieszkuje. Ta willa tam na lewo, to moja. Ale już mnie się znudziło, wilgoć, jedzenie puszkowe i po większej części konina. Zmiatam do Warszawy.

Wsiadł w łódkie i pojechał. To był właśnie ten Kolińszczak. Wrócił do kraju, zajął się czem innym i o Ameryce nie chciał więcej słyszeć.

A Kolumb dawaj po gazetach lekramy zamieszczać, że to on odkrył, że taki szemrany żeglarsz i temuż podobnie. Kolińszczak czytał to na pewno, ale mówił:

— Niech go „hiszpanka” ogarnie, niech będzie, że on był pierwszy, tylko nie wiem, do kogo tam większa część mięszanych dzieci jest podobna? — mrygał na koleżków i szedł na Starówkę do Fukiera na jeden większy.

I tak się zostało. Kolińszczakowi wolno było zrobić, jak chciał, ale my, jako tak zwane potomki, musiem w pięćset lat po tem kancie przez Kolumba uskutecznionem rzecz całą wyjaśnić i fachowcy powinni się za to złapać. Ja już swoje zrobiłem. Teraz mają głos insze historycy.

WIECH

Kolno, niewielkie miasteczko powiatowe na północnym Mazowszu; to grupa mizernych domków, na których znać wyraźnie ślady zniszczeń wojennych i chaotycznych remontów przeprowadzanych „systemem gospodarczym”. Miasteczko nie odbiega w

niczym od dziesiątków tego rodzaju miejscowości w Polsce i — na pozór — niczym się nie wyróżnia. A jednak właśnie Kolno łączy się w wyobraźni wielu Polaków z niezwykłą, egzotyczną legendą. To właśnie ono bowiem, mimo iż położone zdaleka od wybrzeży

morskich, zagubione wśród mazowieckich puszczy i piasków, miało być ojczyzną siedzibą „polskiego Kolumba”, legendarnego odkrywcy Ameryki — Jana z Kolna. I dziś nawet, mimo iż uczeni skłonni są obalać tę romantyczną legendę, historia Jana z Kolna

żyje nadal. Jest tak fascynująca, że — jak to często bywa w takich wypadkach — opiera się skutecznie argumentem naukowym. O tym, że tajemnicza postać legendarnego żeglarza polskiego po dziś dzień działa urzekająco na niejednego, świadczy najlepiej zamieszczony poniżej artykuł.

• HISTORIA JEDNEGO ODKRYCIA CZYLI O POLSKIM KOLUMBIE •

Zbigniew K. Rogowski

480 lat mija od chwili, gdy na nieznanym lądzie po drugiej stronie Oceanu Atlantyckiego przybił do brzegu żaglowiec pod duńską flagą. Płynąc z Europy do krajów podbiegunowych, a może szukając północno-zachodniej drogi do Azji, garstka śmiałych żeglarzy natknęła się na nieznaną kontynent. I oto w r. 1476 na szesnaście lat przed Kolumbem, pierwsi Europejczycy dotknęli stopą ziemi amerykańskiej. Przypadkiem, jak to najczęściej się zdarzało w epoce wielkich odkryć geograficznych XV i XVI wieku, odkryty został nowy ląd, nowa część świata. Wieść o odkryciu nieznanego kontynentu rozniosła się szybko po morzach i krajach europejskich. Marynarze, podróżnicy i korsarze XV i XVI w. opowiadali sobie o duńskiej wyprawie, przekręcając dziwne obce nazwisko żeglarza, który stał na jej czele: Scolvus, Scolnus, Skalv, Scolo... W formie zlatynizowanej: Johannes Scolnus — powtarzały to nazwisko kroniki średniowieczne... Był to Polak: Jan z Kolna.

Myśl o istnieniu nieznanego lądu po drugiej stronie Oceanu Atlantyckiego od najdawniejszych czasów zaprzętała umysły ludzkie. Była motorem wypraw zarówno Fenicjan, Normanów, Irlandczyków, jak i żeglarzy najróżniejszych narodowości w epoce odkryć geograficznych XV i XVI wieku.

W starożytności widok na pozór bezbrzeżnych i bezdennych wód oceanu napelniał człowieka niewypowiedzianym lękiem. Kartagińczyk Himilkon, odważny żeglarz, przyznaje, iż bał się puścić na to „morze niezmierne, wiecznie osnute mgłami, gdzie zadradiwa otchłani”. W starożytności obawiano się również gorącego pasa, który według ówczesnych poglądów miał istnieć na Atlantyku. — „Biada statkowi, który zepuści się w te regiony. Będzie spalony przez słońce” — przestrzega żeglarzy ówczesny geograf grecki. Podobne poglądy wygłaszali najślynniejsi uczeni starożytności.

Jeszcze bardziej niż otchłani i gorąca obawiali się marynarze starożytności potworów, jakimi bujna wyobraźnia zaludniła ocean. Meduzy i ośmiornice, ukazujące się niekiedy na powierzchni morza, przybierały w ich oczach postać potworów, gotowych w każdej chwili pochłonąć cały statek i ludzi. Wycie wiatru między masztami brały za głosy syren, zwiastujących śmiałkom zgubę. Ówczesne poglądy na kształt ziemi musiały przyczyniać się również w znacznej mierze do powiększenia obaw u starożytnych. Jeśli bowiem ziemia — jak wierzyli — była płaska, a ocean otaczający ją nie miał granic, żeglarzowi udającemu się w podróż morską groziło niebezpieczeństwo niewrócenia już nigdy do brzegów ojczystych. A jednak podobne obawy nie zdołały odstraszyć od podróży morskich ludzi odważnych; Ulisses przywiązujący się do masztu statku, aby nie ulec nawoływaniom syren i rzucający się w wir przygód morskich, jest tego przykładem.

Czy istniały kontakty Starego Świata z Ameryką?

Dowodów na to nie mamy, możemy snuć tylko pewne przypuszczenia.

Czynnikami, który w starożytności mógł odegrać bardzo ważną rolę w domniemanych kontaktach z Ameryką, są prądy oceaniczne. Jeden z nich, Golfstrom, jest wielką naturalną drogą, która łączy Nowy Świat ze Starym. Drogą tą przybywały do brzegów Europy rzeźbione kawałki drzewa należące do nieznanego tu gatunków. W ten sposób olbrzymie potoki oceaniczne zawiadamywały starożytnych o istnieniu nieznanego kontynentu.

Jest też możliwe, że dawni marynarze porwać mogli prąd i wyrzucić ich na brzeg Nowego Świata. Zarejestrowano kilka podobnych wypadków w czasach późniejszych. Tak np. odkrycie Brazylii w XVI wieku przez Alvareza Cabrala zawdzięczamy wła-

śnie prądom i wiatrom, które flotę zdążającą początkowo do Indii, zapędziły do brzegów Ameryki Południowej. Warto tu zaznaczyć, że towarzyszem podróży Cabrala był Walerian da Gama, polski Żyd, rodem z Poznania.

Narodem powołanym w starożytności do odbywania dalekich wypraw byli Fenicjanie zamieszkujący wąski pas ziemi między górami Libanu i Morzem Śródziemnym. Uboga gleba nie mogła wyżywić ludności, Fenicjanie zmuszeni byli zatem trudnić się handlem i zakładać kolonie.

Na stokach Libanu kołysały się wysokopienne cedry, świetny budulec okrętowy. Żelazo i miedź występowały również w znacznej ilości. Fenicjanie zaczęli budować zrazu małe galery, później statki, przystosowane do podróży dalekomorskich. Docierali śmiało aż w głąb Bałtyku i Zatoki Perskiej, opłynęli przypuszczalnie Afrykę, a istnieją przypuszczenia, że odwiedzili także Nowy Świat.

Fenicjanie ze względów handlowych nie rozszerzali wiadomości o krajach, z których otrzymywali cenne produkty stanowiące przedmiot ich handlu. W świątyni Melkarta w Kartaginie kupcy fenicy obowiązani byli gwoździu pożytku potomnych składać sprawozdania ze swoich podróży. Był to rodzaj dzienników okrętowych, w których notowano sposoby uniknięcia niebezpieczeństw oraz rynki handlowe. Niestety wszystkie te dokumenty zginęły w czasie zburzenia Kartaginy przez Rzymian.

Grecy i Rzymianie wyczuwali ląd na Atlantyku. Jest jednak pewne, że na podróże do Ameryki się nie odważyli. To samo odnosi się do Walińczyków, Fryzów i Irlandczyków w okresie średniowiecza. Rzekome odkrycie Ameryki przez Chińczyków również zaliczyć należy do podań i legend. Kraj zwany w starych dziełach chińskich Fu-Sang to dzisiejsza Japonia, Korea lub Sachalin. Podróże Arabów po Atlantyku nie zasługują również na nadawaną im nazwę prób dotarcia do Ameryki.

• ODKRYCIE LEIFA, SYNA ERYKA •

Jeśli ktoś z Europejczyków dotknął stopą ziemi amerykańskiej przed Kolumbem czy też przed Janem z Kolna, to tylko Skandynawowie. Żaden naród w Europie nie dokonał w wiekach średnich tylu wypraw zamorskich co Normanowie. Niektórzy łupią Anglię i Irlandię, inni osiedlają się w jednej z najbogatszych prowincji Francji. A byli i tacy, którzy podejmowali wyprawy dalekomorskie, wiedzeni żądzą podbicia nieznanego lądu.

Sag, skandynawskie, stanowiące historyczną kronikę tych wypraw, mówi, iż w roku 982 Eryk Raude, czyli Czerwony, wygnany z Norwegii za przestępstwa, dotarł po długiej podróży po raz pierwszy do Grenlandii. Założył tam kolonię Normanów, która przetrwała prawie do końca XIV wieku, a później wyginęła. Syn Eryka Leif wrócił do Norwegii, po czym w roku 999 usiłował ponownie dotrzeć do Grenlandii, ale burza i wiatry zapędziły statek do nieznanego lądu, skąd dopiero żeglując na wschód, osiągnął zamierzony cel podróży. W roku 1001 Leif podejmuje z Grenlandii podróż do kraju, do którego przed dwoma laty zagnały go wiatry. Normandzki żeglarz nadaje zwiedzonym obszarom nazwy: Vinland (kraj latorośli winnej), Markland (kraj lasów) i Helluland (kraj skał). Niektórzy historycy twierdzą, że chodzi tu o dzisiejsze stany New York i New Jersey.

Wyprawa Leifa znalazła wielu naśladowców, przybywających z pobliskich kolonii normandzkich, z Grenlandii i Islandii. Od XII wieku zaczyna się jednak stopniowy upadek tych normandzkich kolonii. Król przejął bowiem w tym czasie handel wyłącznie w swoje ręce i zakazał statkom odwiedzania kolonii bez zezwolenia. Handel podupadł, bez niego musiały upaść wcześniej czy póź-

niej kolonie. Nieustanne napady tubylców przyspieszyły jeszcze ich upadek. Grenlandia przy tym spustoszona została przez zarazę. A że kolonie w Ameryce zasilane były w żywiol europejski, pochodzący jedynie z Grenlandii i Islandii, nic więc dziwnego, że i one uległy wyludnieniu bądź stopieniu w masie tubylców. Wypraw do kolonii zaniechano; powoli wygasła pamięć o zamorskich posiadłościach. I oto Ameryka została stracona dla Europy.

Podróże Skandynawów do Ameryki w X i XI wieku pozostały bez jakichkolwiek skutków w dziejach świata. Wiadomość o nowo odkrytej części świata nie wyszła poza Skandynawię. Co więcej, podania i sagi nie pozwalają na ścisłe ustalenie, gdzie leżały odcinki wybrzeży amerykańskich odkryte przez Normanów. Nie mogą one również stanowić absolutnie pewnych źródeł, a przynajmniej nie w tym stopniu, aby można było przyznać Skandynawom palmę pierwszeństwa w odkryciu Ameryki.

Minęły od wypraw normandzkich dwa wieki i oto na 16 lat przed Kolumbem — jeśli wierzyć nie udowodnionym wciąż jeszcze naukowo tezom — ląduje na ziemi amerykańskiej polski żeglarz, Jan z Kolna.

• ŁĄD NA HORYZONCIE •

Nad rzeką Łabną, wśród rozległych błot i torfowisk, w pobliżu granicy Prus rozsiadły się na suchszych wzniesieniach wioski i miasteczka mazowieckie. Jednym z nich było Kolno. Miasteczko stanowiło własność patrycjusza gdańskiego, i stąd pozostawało w ścisłym kontakcie z wybrzeżem. Niewiele o Kolnie wiemy, gdyż w czasie wielkiego pożaru w r. 1831 spłonęły wszystkie akta miejskie. Ogień strawił również cenne kroniki, które być może kryły w sobie prawdę o Janie z Kolna.

Jeśli chodzi o dzieciństwo i okres młodzieńczy Jana z Kolna — brak bliższych danych, musimy więc operować domysłami opartymi na podaniach.

Jan był jeszcze małym chłopcem, kiedy słyszał z ust braci i krewnych — marynarzy gdańskich — o dalekich wyprawach morskich i nieznanach lądach. Z nauk pobieranych w miejscowej szkole najbardziej pociągała go geografia. Jan marzy o dalekich podróżach, pragnie wstąpić do służby morskiej. Polska floty wówczas nie miała. Najbliższą potęgą morską była Dania, z którą łączyły nas niezłe stosunki. Wiedziony żądzą przygód i dalekomorskich wypraw, opuszcza Jan rodzinne Kolno i przez Gdańsk udaje się do Danii. Tam zaciąga się do służby króla...

Jan z Kolna przybył do Danii za panowania Chrystiana I. Była to epoka odkryć, epoka szukania zachodniej drogi do Indii. Powszeczną uwagę kierowała się na Atlantyk. Wiara w istnienie nowego świata stała się bodźcem do nowych wypraw. Król Chrystian I interesował się żywo odkryciami, marząc zapewne o zagarnięciu bogatych lądów jako kolonii. Nadawane przezeń przywileje handlowe zachęcały żeglarzy do poszukiwań. Coraz więcej wypraw odbija od brzegów Danii. Kierownictwo jednej z nich — oficjalnej wyprawy królewskiej — polecił Chrystian Janowi z Kolna. Dlaczego wybór padł na niego? Kroniki mówią, że monarchę duńskiego skłoniło do tego męstwo i przedsiębiorczość polskiego żeglarza.

Możliwe, że nie znalezienie północno-zachodniej drogi do Azji było celem wyprawy Jana z Kolna, lecz po prostu dotarcie do dawnych ośrodków kolonizacji skandynawskiej w Islandii i Grenlandii. Powolne zamieranie kolonii mogło napełnić kraj macierzysty obawą o ich los. O wyprawie mówią kroniki wielu krajów. Także polskość przywódcy potwierdzona jest przez kroniki włoskie, francuskie, hiszpańskie, niemieckie, a nawet niektóre duńskie. Większość kronik duńskich i norweskich wszakże niesłusznie uważa Jana z Kolna za Norwega lub Duńczyka, zwąc go Scoltem albo Scalvą.

Oto co pisze o wyprawie dawny historyk duński:

„...Wyprawa odbiła najprawdopodobniej z cypla Stadtland w północnej Norwegii i kierowała się do Grenlandii wzdłuż naturalnego pomostu wysp na Atlantyku, który tworzą wyspy Owcze, Sztelandzkie i Islandia... Statek wypłynął już z Islandii do Grenlandii, kiedy wpadł w mgłę, z której przez kilka dni nie mógł się wydobyć i stracił kierunek. Wkrótce po rozejściu się mgły żeglarze zobaczyli na zachodzie ziemię, która nie była Grenlandią, lecz nowym nieznanym lądem. Było to w roku pańskim 1476...”

Łąd ten identyfikuje się na ogół z wielkim półwyspem amerykańskim, który później otrzymał nazwę Labradoru. Możliwe, że Jan z Kolna był również w cieśninie, nazwanej później Cieśniną Hudsona. Jeden z kronikarzy twierdzi nawet, jakoby wyprawa opłynawszy Nową Fundlandię i Nową Szkocję, dotarła na południe od Labradoru aż w pobliże dzisiejszego miasta Boston. Historycy odrzucają jednak kategorycznie ten pogląd.

A oto kilku innych kronikarzy i historyków cudzoziemskich, którzy w swoich dziełach pisali o Janie z Kolna i jego odkryciu. I tak z pierwszą wzmianką o wyprawie Jana z Kolna za ocean w r. 1476 spotykamy się u Franciszka Gomary, znakomitego historyka i geografę hiszpańskiego. Pisze on o niej w swej „Historii

Indii” wydanej w r. 1533 w Neapolu, nie podając jednak narodowości żeglarza.

Na uwagę zasługuje przede wszystkim dzieło francuskiego historyka de Belleforest *Histoire universelle du Monde*, wydane w Paryżu w r. 1570, gdyż zawiera ono najdawniejszą znaną nam wzmiankę o polskości domniemanego odkrywcy Ameryki w r. 1476. Oto, co czytamy na str. 252 tego dzieła: „...sławy odkrycia tego północnego kraju (Labradoru) nie należy przypisywać ani Hiszpanowi, ani Portugalczykowi, ani też Francuzowi, albowiem Jan z Kolna, Polak, przybył tam roku pańskiego 1476, na wiele lat przed wysłaniem za ocean przez królów hiszpańskich czy też portugalskich Kolumba czy Vespucciego dla zbadania nieznanych krain. Polski żeglarz przebył morze norweskie, opłynął Grenlandię i inne nieznanne wyspy i dotarł do cieśniny Anian (nazwanej później Cieśniną Hudsona)...” Jak utrzymują niektórzy historycy, Belleforest opierał się najprawdopodobniej na jakiejś nie istniejącej już dzisiaj mapie lub też na pochodzącym z r. 1476 bezpośrednim opisie podróży, który zaginął. Zachowały się do dzisiaj kroniki, w których jest mowa o oryginalnej relacji z podróży złożonej królowi duńskiemu przez Jana z Kolna. A oto co pisze w r. 1597 o wyprawie historyk Korneliusz Wytfliet:

„...Król Danii i Norwegii Chrystian I chcąc przywrócić wygasłe stosunki z Grenlandią dał statek norweski polskiemu żeglarzowi Janowi z Kolna i polecił mu odszukać dawne kolonie. Jan opłynął Norwegię, Islandię i Grenlandię, i dotarł aż do Labradoru, i cieśniny Anian...”

Wytfliet podaje nazwisko „Johannes Scolnus Polonus”.

Wzmianki o Janie z Kolna i jego wyprawie przedkolumbijskiej do Ameryki znajdujemy również w dziełach historyka Cornellego (1691) i w dziele jezuitę Fr. X. Charlevoix. Oto treść tej ostatniej:

„...Pierwszym, który dotarł do stałego lądu Ameryki przed Krzysztofem Kolumbem był Polak, Jan z Kolna. Z polecenia króla Danii i Norwegii, Chrystiana I, płynął on do Grenlandii, gdzie Eskimosi zburzyli normandzkie kolonie. Żeglując do Grenlandii, dotarł do północnego krańca stałego lądu Ameryki — Labradoru, opłynął cieśninę Anian. Było to w r. 1476. Wkrótce o tym w Danii zapomniano...”

Na początku naszego stulecia niemiecki badacz Walter Ruge znalazł w mieście Zerbst (prowincja anhalcka) wykonany przez Gemma Frisiusa w latach 1534—1547 globus, na którym oznaczona była wąska cieśnina oddzielająca Amerykę od nieznanego lądu. Na brzegu tej cieśniny widniał napis: *Quii populi ad quos loes Scoluu, danus peruenit circa annum 1476*. Ten sam napis pojawia się na globusie z Rouen, który datuje się z ok. 1600 r. W obu wypadkach odkrywca Ameryki z r. 1476 wymieniony jest jako Duńczyk. Natomiast na mapie H. P. Resena sporządzonej w XVII w., przy Labradorze jako odkrywca tego kraju figuruje „Johanes Scolnus Polonus”.

Wypowiedzi o wyprawie i odkryciu Jana z Kolna w r. 1476 można by przytoczyć więcej. Ograniczyłem się tu jednak tylko do najbardziej pewnych źródeł.

Duńscy nie zwrócili wielkiej uwagi na odkrycie Jana z Kolna. Nie miało ono większych następstw prawdopodobnie dlatego, że okolice odkryte przez polskiego żeglarza były ubogimi lodowatymi krainami, których koronie duńskiej nie opłacało się eksploatować. Niemniej wieść o odkryciu Jana z Kolna, które poczytywano „bardziej za cud boski niż czyn ludzki” bardzo szybko rozniosła się po Europie i zapewne dotarła do samego Kolumba. Duński historyk z XVI wieku Pontanus pisze:

„...Krzysztof Kolumb musiał wiedzieć o nim (o Janie z Kolna), gdyż jak wiadomo w roku 1477 odbył podróż do Islandii, będącej w ciągłych stosunkach z Danią, gdzie imię polskiego żeglarza było powszechnie znane”.

O Janie z Kolna, jak podają kroniki, słyszeli również rybacy hiszpańscy i portugalscy od rybaków skandynawskich, którzy zapuszczali się na wody iberyjskie na połów specjalnego gatunku ryb „baccalos”. Jeśli więc wierzyć kronikom, wiadomość o odkryciu nieznanego lądu przez polskiego żeglarza dotarła na półwysep iberyjski wcześniej niż do innych krajów.

Jakie były dalsze losy Jana z Kolna, jak go przyjął duński monarcha, czy żeglarz wrócił do Polski, kiedy i gdzie zmarł — nie wiadomo.

Dzieje wyprawy Jana z Kolna są mało znane. Historia odkryć geograficznych stanowi bez wątpienia bardzo ważny rozdział w dziejach świata. Wiadomości o ziemi, które obecnie posiadamy, ludzkość gromadziła w ciągu długich stuleci. Białe plamy, które oznaczały dawniej na mapach nieznaną dotąd ziemię, nie istnieją dzisiaj prawie zupełnie. Jak wskazują na to kronikarskie dane, Polak, Jan z Kolna przyczynił się do odkrycia Nowego Świata. Jeśli polscy historycy i geografowie podejmą wdzięczny trud w kierunku szczegółowego wyświetlenia dziejów odkrycia Ameryki z roku 1476 — palma pierwszeństwa z tego tytułu, być może, przypadłaby polskiemu żeglarzowi, Janowi z Kolna.

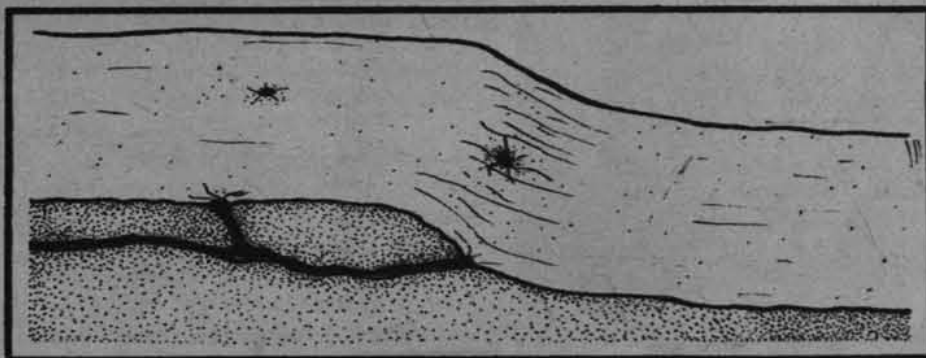
NIEPOKOJĄCE ZJAWISKO

ANDRZEJ ŁASZCZYŃSKI

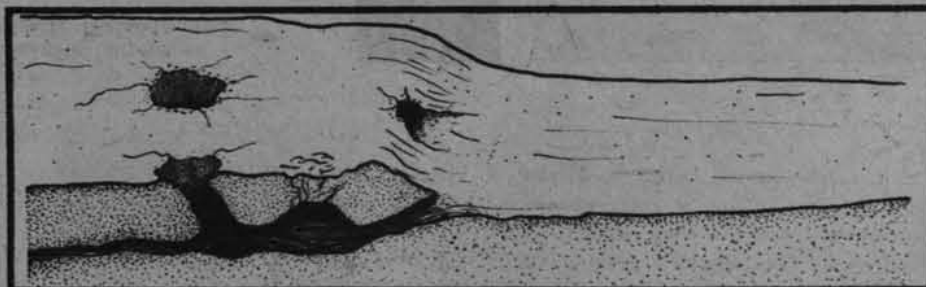
1



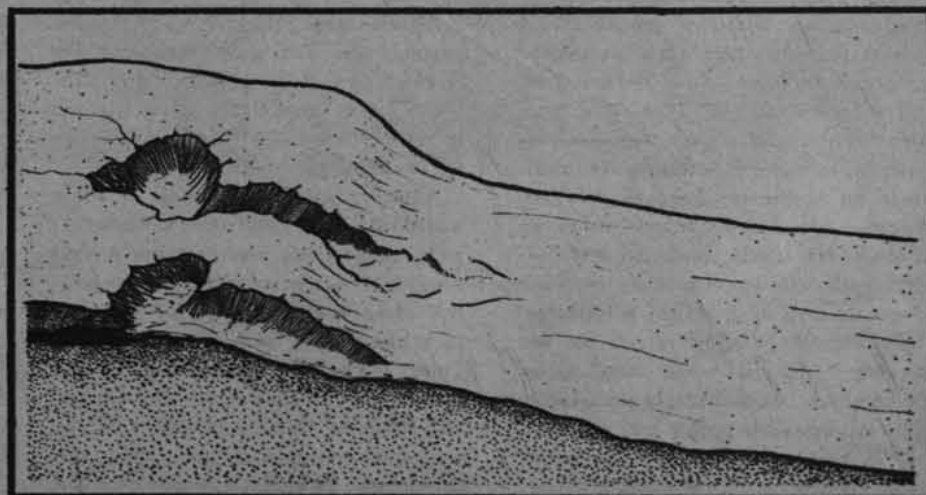
2



3



4



1 Widok na Smerek i połoniny w Bieszczadach. Uprawne niegdyś pola pokrywa nie koszona przez całe lata trawa. Fot. Adam Skoczyła.

2 Początek procesu podziemnej erozji. Woda przepływa przez norki gryzoni.

3 Podziemne przepływy rozrastają się w system korytarzy i komór.

4 Ostatnie stadium podziemnej erozji — sklepienie zapada się, powstają wyrwy i wąwozy.

Wędrując bezludnymi zboczami Beskidu Niskiego lub Bieszczad możemy niekiedy usłyszeć głośnie szum jakby potoku, chociaż nigdzie w pobliżu nie znajdziemy jego koryta. Dokładniejsze poszukiwania przekonają nas, że szum dobywa się spod ziemi, niekiedy tuż spod naszych stóp. Warto wtedy zwrócić uwagę na niewielkie otwory norek rozmaitych gryzoni, widoczne na powierzchni gruntu. Powyżej lub poniżej tych otworów spostrzeczemy niejednokrotnie ślady przepływu wody. Powyżej będą to niewielkie wyrwy, a poniżej zazwyczaj jasnożółte nanosy piasku lub gliny. Jeśli ujrzymy norkę, do której wpada strużka wody, by po kilku czy kilkunastu metrach wypłynąć poniżej mętnym strumyczkiem, będzie to znak, że człowiek w tym terenie może się jeszcze poruszać swobodnie, ale dla traktora jest on już niedostępny. Rozpoczął się tu bowiem proces podziemnej erozji, który nieuchronnie doprowadzi do pocięcia powierzchni zbocza systemem wyrw i wąwozów.

Niszczące działanie płynących wód szczególnie wyraźnie rzuca się w oczy na obszarach górskich. Spływająca woda tworzy na zboczach wyrwy, rozmywa drogi, draży głębokie wąwozy i doliny potoków o charakterystycznym poprzecznym profilu w kształcie litery V. Mniej widoczna, ale niemniej szkodliwa jest tzw. erozja gleb, czyli proces stałego choć powolnego splukiwania gleby, który obserwujemy zwłaszcza na polach ornych w okresie słabego ich pokrycia roślinnością. Najlepiej widzimy to wiosną, szczególnie po silnych deszczach. Hamująco wpływa na proces erozji zadarnienie gleby, gdyż korzenie traw utrzymują cząsteczki ziemi, a łodyżki zmniejszają szybkość spływu wody, powodując osadzanie niesionych przez nią zmywów.

Zdawałoby się wobec tego, że na polach opuszczonych przez człowieka, gdzie uprawa gleby została całkowicie poniechana, a rola pokryła się wieloletnim kożuchem traw, zjawisko erozji gleb powinno zachodzić co najwyżej w minimalnym stopniu. Tymczasem, jak to się okazało w Beskidzie Niskim i Bieszczadach, rzecz się ma inaczej. Nie widać tu wprawdzie na powierzchni zmywów gleby, gdyż nie koszona przez lata cała trawa swym spletanym systemem korzeniowym pokryła uprawne niegdyś pola, ale jednak te właśnie obszary od lat nie ruszane plugiem, stały się widownią erozji szczególnie groźnej w swych skutkach. Jak się to stało? Otóż ochronny kożuch traw nie tylko chroni glebę przed zmywaniem lecz także ułatwia powstanie podziemnych próżni i utrwala już istniejące.

Historia powstawania takich próżni przedstawia się mniej więcej w ten sposób: Na opuszczonych polach osiedlają się liczne gryzonie znajdując tu dogodne warunki życiowe, a ich nory, nie niszczone przez uprawę roli, pozostają z roku na rok. Do niszczenia nor gryzoni na uprawnych polach przyczyniają się bardzo zwłaszcza jesienne orki, gdyż zwierzęta nie odbudowują już przed zimą swych zniszczonych w jesieni kryjówek. Nowe korytarze podziemne wykopują sobie gryzonie dopiero latem następnego roku. Natomiast na terenach opuszczonych przez ludzi nie naruszone nory wykorzystuje woda. Tędy przenika ona w głąb gruntu pod kożuch darni. Dostawszy się do systemu nor woda rozpoczyna swą niszczącą

działalność, tym groźniejszą, że niewielką. Powolne podziemne rozmywanie gruntu i stałe poszerzanie nor powoduje powstawanie podziemnych korytarzy i komór o układzie podobnym w miniaturze do układu jaskiń krasu skal wapiennych. W krasie wapiennym jednakże powstawanie jaskiń jest wynikiem chemicznej działalności wody, tj. rozpuszczaniem wapieni przez wodę przenikającą wzdłuż szczelin i spękań skały. W tym zaś pseudokrasie powstałym w pylastych glinach karpaccich główną rolę odgrywa mechaniczne działanie wody, która unosi cząstki gleby wypłukując je wzdłuż „szczelin”, czyli nor gryzoni.

Podziemne próżnie pseudokrasu nigdy nie są zbyt wielkie. Średnica ich nie przekracza półtora metra, a głębokość dwu, przy czym grubość sklepienia wa-

ha się od kilku centymetrów do 1 m. Powodem tak niewielkich, w porównaniu z wapiennym krasem, wymiarów podziemnych próżni jest oczywiście o wiele mniejsza w stosunku do wapieni spoiistość glin karpaccich. Cienka warstwa sklepienia zapada się zwykle sama pod własnym ciężarem, w miarę powiększania się istniejącej pod nią próżni. Często jednak bywa, że powodem zerwania się gruntu i powstania zapadliska bywa jakieś dodatkowe obciążenie sklepienia. Może nim być przechodzący człowiek lub zwierzę (np. owca), ale chyba najczęściej ofiarą padają traktory. Znane są z tych terenów wypadki śmierci traktorzysty przywalonego zapadającą się maszyną. Teren podminowany erozją podziemną, przeważnie mało widoczną, właściwie nie nadaje się pod uprawę, gdyż zdar-

cie kożucha przyspieszy proces przemiany podziemnych korytarzy w wąwozy, a ponadto uruchomi zamarły już proces zmywania powierzchniowego gleb.

Ostrożna działalność człowieka na górskich obszarach rolniczych poprzecinanych wąwozami musi dążyć do utrwalenia zboczy i zmniejszenia szybkości spływu wody przez budowę poprzecznych przegród.

Być może, że początkiem sufozji, gdyż tak nazywa się ów proces podziemnej erozji wód płynących — są nie tylko norki polnych gryzoni. Możliwe, że woda przenika w głąb gruntu wzdłuż korzeni pewnych roślin. Może następują jakieś spękania lub inne nieznanne nam procesy otwierające wodzie drogę w głąb ziemi. Wszystkie te zjawiska rozwijają się swobodnie głównie na obszarach bezludnych, gdzie działalność czło-

wieka nie hamuje ich rozwoju. Nic więc dziwnego, że bardzo jeszcze mało wiemy o powstawaniu, przyczynach i okolicznościach towarzyszących tym zjawiskom. Jak już powiedzieliśmy, okresy słońca, a więc przede wszystkim wiosna i jesień, są najlepszą porą do obserwacji tych procesów w chwili ich powstawania, w suchszych bowiem okresach roku widzimy zwykle już gotowe wyniki sufozji i tylko po śladach możemy się domyślać ich historii. Każda obserwacja, a zwłaszcza uchwycenie na żywo powstawania zapadliska lub zmian w przebiegu wody jest niezmiernie pożyteczna i może w końcu pomóc do opamiętania tego groźnego dla naszej gospodarki zjawiska.

ANDRZEJ ŁASZCZYŃSKI

500-LECIE MIELCA



↑ Stare budownictwo Mielca nie pozbawione jest uroku. Fot. Mirosław Maciąga

← Tak wyglądał Mielec ok. połowy ubiegłego stulecia. Litografia Bogusza Stęczyńskiego z r. 1847.

Mielec przygotowuje się w bieżącym roku do obchodu swego 500-lecia, tyle lat bowiem mija od czasu, kiedy w 1457 roku król Kazimierz Jagiellończyk, na żądanie Jana Mieleckiego, wydał akt lokacyjny miasta. Przywilej ten, wydany w Piotrkowie 28 lutego, zezwalał na założenie miasta na prawie magdeburskim na gruntach wsi Mielec oraz na odbywanie w nim 2 dorocznych jarmarków. Oryginał przywileju gdzieś zaginął, do naszych czasów dochował się odnaleziony niedawno na Wawelu odpis z XVII wieku.

Problem ściągnięcia osadników na te tereny nie był sprawą prostą, gdyż niechętnie przybywali oni na bagniste pokryte puszcza tereny i Mieleccy bojąc się, aby cały trud i poniesione koszty nie poszły na marne, wystarali się w 1470 r. o powtórny przywilej lokacyjny, a dodatkowo jeszcze król Aleksander II zatwierdza te przywileje w 1502 r.

Nie należy jednak sądzić, że Mielec liczy dopiero 500 lat, w rzeczywistości jest bowiem osadą o wiele starszą. W XIII wieku jako wioska zalicza się do posiadłości klasztoru tynieckiego, a pierwszą wzmiankę historyczną o Mielcu posiadamy z roku 1229. Początków Mielca należy właściwie jednak szukać jeszcze wcześniej tam, gdzie nie sięgają źródła historyczne — w dokumentach archeologicznych. W 1954 roku przy kopaniu dołu na wapno natrafiono na urny z prochami. Cmentarzysko to znajduje się naprzeciw dawnego folwarku księzego, po drugiej stronie drogi do Złotnik. Na resztki umocnień drewnianych natknięto się również w piwnicach domu na rogu ul. 1 Maja i Kilińskiego.

Odtworzenie dziejów miasta nie jest sprawą prostą, gdyż wiele starych aktów dotyczących miasta uległo zniszczeniu lub rozproszeniu w czasie ostatniej wojny. Z bogatego archiwum cechowego, które jeszcze w 1939 roku zawierało

księgi z XVI i XVIII wieku, nie ma dziś śladu. Jakoby ktoś zabrał je na przechowanie i odtąd słuch o nich zaginął. Podobnie przedstawia się sprawa z archiwum miejskim, z którego przywileje i akta zostały wysłane w 1892 r. na wystawę lwowską, gdzie zaginęły. Przeprowadzone jeszcze w 1932 roku poszukiwania nie dały rezultatu. Do czasów nowszych, głównie do XIX wieku, dużo materiałów znajduje się w tekstach Schneidra oraz w archiwum w Tarnobrzegu.

Autorzy, którzy korzystali z ksiąg miejskich przed 1930 rokiem, nie wskazywali miejsca ich przechowania i dziś odnajduje się je z wielką trudnością. Być może, spoczywają gdzieś w lamusach prywatnych osób i tam niszczeją. Toteż powstały przy Prezydium Miejskiej Rady Narodowej Komitet Obchodu 500-lecia Mielca zwraca się do wszystkich posiadaczy materiałów czy eksponatów związanych z dziejami za-

równy samego Mielca, jak i powiatu mieleckiego z prośbą o skontaktowanie się z Komitetem.

Komitet Obchodu, który ma zająć się zorganizowaniem uroczystości, wyłonił z siebie sekcje: naukową i imprezową, toteż społeczeństwo powiatu wiele obiecuje sobie po tych sekcjach. Zebranie dostatecznej ilości materiałów i eksponatów umożliwiłoby utworzenie w Mielcu załóżka przyszłego muzeum. Przewiduje się również wydanie drukiem kilku prac dotyczących dziejów ziemi mieleckiej.

Sama rocznica wypadłaby w lutym, lecz ze względu na nieodpowiednią porę roku przewidziano przesunięcie jej obchodu na maj 1957 r.

Mirosław Maciąga

CZY GOPŁO BYŁO RZEKĄ?

Lat temu 150 Wawrzyniec Surowiecki (1769—1827), badacz przeszłości przemysłu na ziemiach polskich, zajmował się gorliwie rozwiązywaniem zagadek, „jakie kryją w sobie okolice Gopła i Noteci”. Ciekawe swe spostrzeżenia zawarł w książce *O rzekach i splawach krajów Wielkiego Księstwa Warszawskiego* (Warszawa 1811), przedrukowanej również przez Turowskiego w *Dzielnach Surowieckiego* (Kraków 1861).

Pochodząc spod Gniezna Surowiecki przestudiował swe rodzinne strony z tekstem Długosza w rękę, znanym mu zresztą wówczas tylko z tekstu łacińskiego. Sprawdzał wszystko, co wyczytał o Goplu i Noteci, „tu widząc pierwotny związek narodu, tu spostrzegając nie zatarte ślady najdawniejszych epok przemysłu”.

„Podaniami, jakożkolwiek na pierwszy rzut oka mogłyby się wydawać bajecznymi — pisał — rodak nigdy płochy wzgardzać nie powinien. Któż wie, czyli pільniejsze ich zważenie nie naprowadzi go do odkryć, które wyjaśnią zapomniane epoki sławy narodu? Dawne podania, ciemne wzmianki historyczne, upowszechnione wieści miejscowe, nareszcie szczególne niektóre zabytki wmałwiały w nas dotąd, że przed wiekami Polacy prowadzili wielką żeglugę od Warty przez Gopło do Wisły i Gdańska, że ta przez nadzwyczajne wydarzenia przerwana została, że okolice nadgoplańskie rychlej zakwitły w przemysł i potęgę aniżeli inne, że Kruszwica była niegdyś okazałym i jednym z głównych miast krajowych”.

W obszerniejszym opisie Gopła i Noteci Surowiecki malował taki obraz:

„Wszędzie są ślady i podobieństwa, że całe te okolice, podobnie jak wiele innych w kraju, były kiedyś zbiorem mnóstwa wysp oblanych wodami. Nieprzerwane strugi, bagna i podeschle już miejscami doliny, które stąd osobnymi smugami rozchodzą się na wszystkie strony i sięgają przez Wisłę i Wartę najodleglejszych granic, były bez wątpienia jednym pasmem wód wszędzie roztoczonych. Dopóki naszą ziemię okrywały gęste bory, rzeki zostawione całej dzikości, zatarasowane przez wieki łomem wywrotów, zapchane kłębami roślin i mułów, tamowane stosami długo leżących i zapieranych lodów, nie mogąc spływać należycie do morza, musiały się ulewać na strony, zatapić wszystkie doliny i zmieniać cały kraj w pływający archipelag. Tak nam podania między innymi malują okolice dawniej Wiskitek i Łęczycy; podobne znajdujemy dziś jeszcze całe Polesie. Tam podróżny na wiosnę wsiadłszy do łódki od Brześcia aż do Kijowa może wszczepić i wzdłuż zwiędzić jeszcze całą krainę nie tykając lądu. Jak we wszystkich korytach rzek, tak podobnie i w kotlinach jezior wody nierównie podówczas podniesione być musiały”.



Wyciągając wnioski z wywodów matematycznych, oblicza Surowiecki dawną wysokość powierzchni jeziora:

„Wtenczas kiedy rzeka Goplenica nie przerwany korytem płynęła do Warty, Gopło jako jej źródło musiało stać przeszło 11 stóp wyżej aniżeli teraz... W samej Noteci trzeba szukać przyczyny dawnej wysokości Gopła. Jest wielkie podobieństwo, że dolna część jej koryta w

początkach albo zupełnie była zata-mowana, albo też znacznie utrudnia-ła odpływ wody. Dokładne rozpoznanie miejscowe może by objaśniło... powtarzanie podania, że nadzwyczajny jakiś przypadek przerwał nagle żeglugę z Gopła do Wisły i Gdańska... Dawne świadectwa tak Długosza, jako i innych zapewniają nas zgodnie, że mianowicie północne brzegi Noteci potężnymi okryte były borami. Św. Otto przez sześć dni

musiał się przedzierać za nie od zamku Ujścia do Starogrodu, pogranicznej osady Pomorzanów. Bolesław Krzywousty w wyprawie swojej na początku XII wieku, pierwszy, tam-

Dokończanie na str. 31



↑ Tak zwana Mysia Wieża nad Gopłem. Litografia wg rysunku Napoleona Ordy, z połowy XIX wieku.

↑ Widok z Mysiej Wieży na Kruszwicę. Fotolab. PTTK w Jaśle.

→ Współczesny widok Mysiej Wieży nad Gopłem. Fotolaboratorium PTTK w Jaśle.



Kazimierz — ongiś osobne miasto pod Krakowem, o imieniu swego założyciela, króla Kazimierza Wielkiego; dziś jedna z najbiedniejszych, najbardziej opuszczonych dzielnic.

W sąsiedztwie imponujących gotyckich kościołów św. Katarzyny i Bożego Ciała, niedaleko bujnego baroku kościoła Bonifratrów i Skalki, kryjącej w swych podziemiach nie tylko groby zasłużonych, ale i resztki budowli pamiętającej zatarg biskupa Stanisława z Bolesławem Śmiałym, ciągną się szeregi domów bardzo brzydkich i bardzo pospolitych. Gdzie gryzą się wzajemnie dziwactwa secesji i historyzmu — jakieś niespodziewane wieżyczki, wykusze, pseudoromańskie arkatury z tynku — obok bezwyrazowych dwudziestowiecznych czynszówek. Dzielnica, która po dekrete Jana Olbrachta przyjęła w swój obręb wypędzonych z Krakowa Żydów. To właśnie tu mieściło się getto, „kazimierska Jerozolima” z bóżnicami Starą, R'emuh, Wysoką, Kupa, Izaaka, Bociana. Tu stapała się w jedno masa żydowskich uchodźców z Czech, Niemiec, nawet z Hiszpanii. To tutaj w dzień „lag b'omer” ciągnęły pielgrzymki Żydów z całej Polski — ba, z całej Europy — na grób rabina Isaaka Isserlesa Auerbacha zwanego R'emuh, prawodawcy, filozofa i uczonego, który książki swoje odbijał w Lozanie, Weronie i Brukseli. To dziwne, ale jego grobowy kamień, pokryty renesansowym ornamentem — jeden jedyny z przyczyn niewiadomych został oszczędzony przez hitlerowców i zachował się do dziś na cmentarzu przy bóżnicy.

Dziś nie ma Żydów, ale pozostało getto. Pozostały błotniste uliczki, szare kamiennie podwórka, odrapane mury i mrok. Pozostały zaułki, ciemnie sienie i przerażające, oślizgłe od wilgoci i brudu sutereny, oficyny, nory.

Na tle pokrytych liszajami chorego tynku ścian wiszą sznury z pościelą, czekając na słońce. Ale słońce rzadko zagląda do studzien ście-

ZDJĘCIA WOJCIECHA PLEWIŃSKIEGO

• KRAKOWSKI KAZIMIERZ •





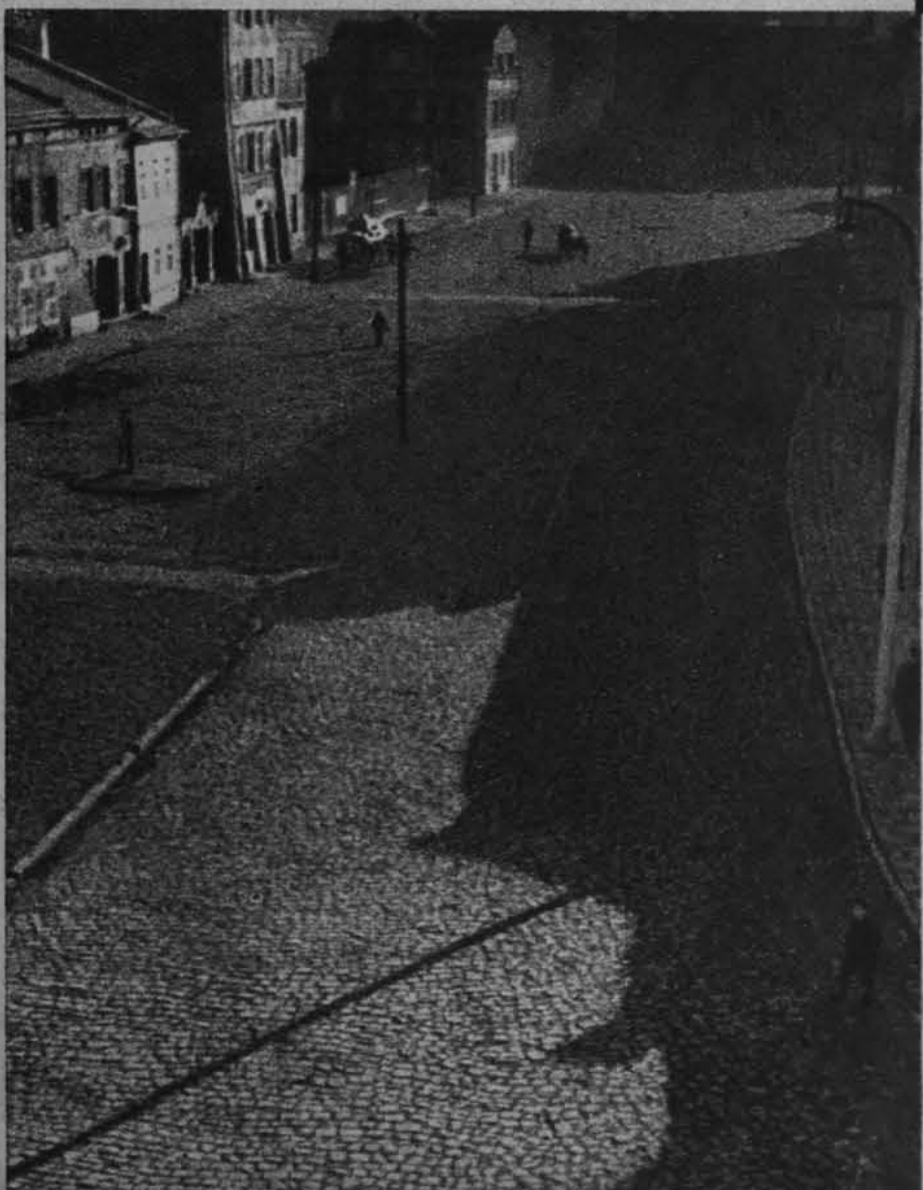
śnionych murów. Więc po dawnemu cuchnie za-
tęchłym potem, kapustą
— i nędzą. Po dawnemu
twarze są szare, koślawe,
zbiegnięte.

To są także pamiątki.
Złe, wstydlive pamiątki.
Pamiątki, których nikt
żałować nie będzie.

Oby zniknęły możliwie
szybko.

Bo inaczej cóż posta-
wimy obok relacji XVII
i XVIII-wiecznych pod-
różników, którzy — inny-
mi co prawda słowami
— ale jednak mówili o
Kazimierzu to samo?

TADEUSZ ŻYCHIEWICZ



JAK FRANCUZ PAYEN PO POLSCE WĘDROWAŁ

„Możecie sobie łatwo wyobrazić radość naszą, gdyśmy się znowu poczuli na lądzie stałym. Holendrzy pozostali w porcie jeszcze dni kilka; ci zaś, którym się spieszyło, skorzystali z fregaty szwedzkiej, która miała nazajutrz popłynąć do Kolobrzegu, i zabrawszy się na pokład, w moim towarzystwie w ciągu dwudziestu czterech godzin dostali się na Pomorze, a stąd pocztową kareta do Gdańska” — pisze Francuz Payen, namiestnik królewski z Meaux w swej książce pod tytułem: *Les voyages de Monsieur Payen lieutenant general de Meaux, ou sont contenues les descriptions d'Angleterre, de Flandre, de Brabant, d'Hollande, de Denemarck, de Suède, de Pologne, d'Allemagne & d'Italie...*¹

W długą podróż po Europie, wybrał się autor prawdopodobnie w celach dyplomatycznych, a po trosze i turystycznych. Wiemy wszak, że jedno drugiemu nie przeszkadza. Wrażenia swe ogłosił drukiem najpierw w r. 1663, a następnie w 1667 w Paryżu. Do Polski przyjechał po zakończeniu wojen szwedzkich, w roku zawarcia pokoju w Oliwie — 1660. Przybył okrętem ze Szwecji, lecz wielka burza nie pozwoliła na przybycie do Gdańska. Dobili więc do Kalmaru.

Oto jego spostrzeżenia z Gdańska:
„Gdańsk jest pierwszym miastem

pruskim usadowionym nad Wisłą, na pobrzeżach Bałtyku i tworzącym niejako państwo odrębne, republikę, pod protektoratem królów polskich. Celuje ono nad innymi miastami nie tylko Polski, ale i Niemiec, okazałością swoją, bogactwem i ufortyfikowaniem, tworząc niejako emporium Pomorza.

Zboże przybywa tutaj Wisłą i stąd rozchodzi się po całej Europie.

Przystań jego, bardzo korzystnie urządzona, jest broniona przez cztery fortece, zdolne do stawienia oporu najsilniejszym statkom armii morskiej.

Arsenal Gdańska otoczony jest armatami, prochem, kulami i inną bronią zaczepną i odporną.

Kościół Matki Boskiej tworzy rozległą nawę, w której okazują chleb skamieniały, rękę, która wynurzyła się z grobu lat osiem temu, i obraz przedstawiający sąd ostateczny, uchodzący zdaniem znawców za arcydzieło, za które cesarz Rudolf chciał zapłacić czterdzieści tysięcy talarów...

Kobiety nie odznaczają się w Gdańsku pięknnością skończoną, lecz są bardzo układne, ładnie się stroją i w ogóle są dosyć przystępne. Mówią po polsku i po niemiecku“.

W Gdańsku zaczęło się od pijaństwa. Pan Payen pisze:

„Pewnego dnia zaszedłem z pewnym szlachcicem niemieckim, dobrym moim

przyjacielem, na birbantkę do jednej z piwnic, gdzie sprzedają wino hiszpańskie. Podpiszmy sobie uczciwie aż do zamroczenia myśli, mieliśmy już opuścić piwnicę, gdy nagle ujrzeliśmy wchodzącego człowieka wzrostu około sześć stóp wysokości mieć mogącego, z wygoloną czupryną i brodą. Twarz miał pokiereszowaną, a czoło tak pomarszczone, że spod zmarszczek oczu się nie widziało. Był to szlachcic polski, otoczony piętnastu pacholkami. Zażądał on jadła dla siebie i dla swego otoczenia. Zaledwie nas ujrzał, przystąpił wnet do naszego stołu z ofiarowaniem swej przyjaźni i spytał, czy długo już siedzimy u stołu“.

Zaczęło się więc wspólne pijaństwo, które dla Francuza omal że nie zakończyło się małżeństwem z córką owego szlachcica:

„Jakoż oświadczył, wśród całusów, że zostanie jego zięciem, że ma dwie córki, z których jedną daje mi do wyboru, razem z dziesięcioma tysiącami dukatów posagu i dwustu chłopami. Możecie sobie wyobrazić, z jaką miną przyjąłem tę propozycję i ile byłem wdzięcznym za ów zaszczyt. Przyzwoliłem tedy pozornie na owe małżeństwo, a nie chcąc ściągnąć na swoje barki, gniewu szlachcica, przyrzekłem spełnić wszystko, czego by tylko w tej mierze zażądał. Przyniesiono tedy wina

i dla uczczenia mojego małżeństwa należało rozpocząć pijatykę na nowo“.

Gdy tylko okazja nadeszła, Payen uciekł i już się więcej szlachcicowi na oczy nie pokazał; wyruszył w dalszą podróż. W czasie swej wędrówki po Polsce zauważył, że Polacy znają dobrze obce języki, że dzieci mówią po niemiecku, po polsku i po łacinie, a kupcy władają dobrze niemieckim, łacińskim, włoskim i francuskim.

Z Gdańska Payen udał się do Torunia, Warszawy, a stąd do Krakowa. W jego pamiętniku czytamy dalej:

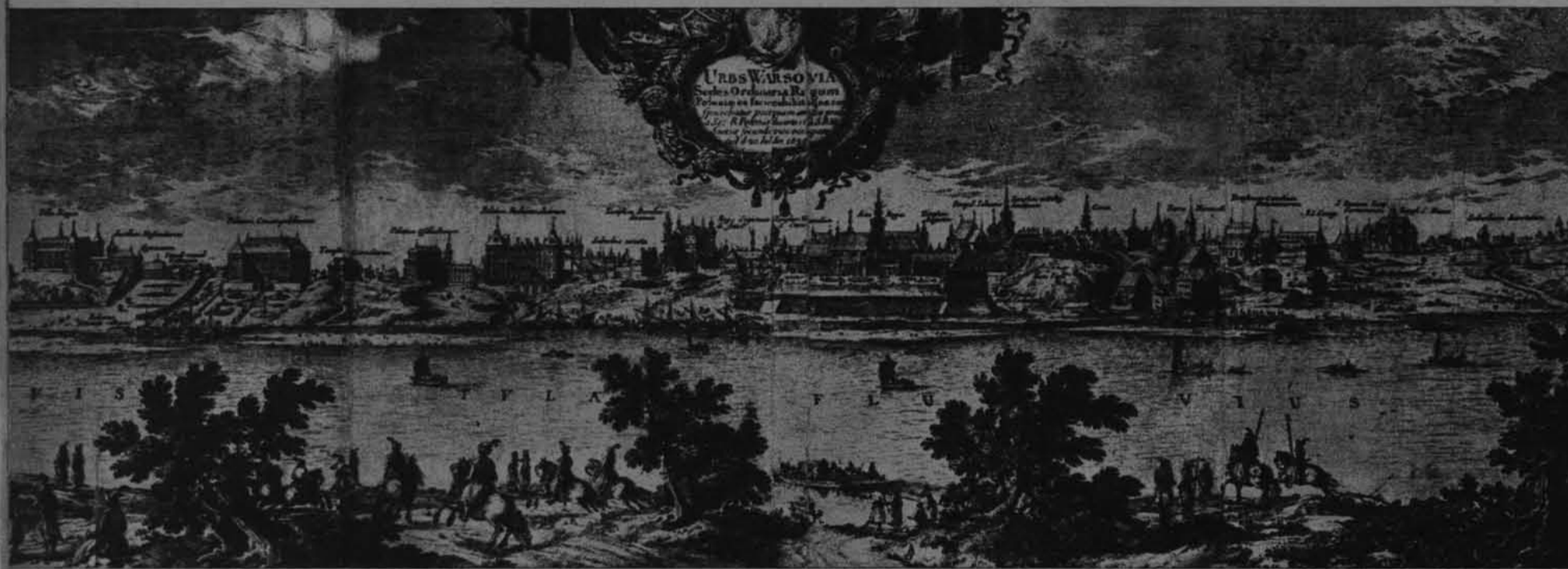
„Toruń jest jednym z najważniejszych miast pruskich. Posiada gmachy i ratusz wielkiej piękności.

Warszawa leży na Mazowszu. Jest to rezydencja królów zbudowana nad Wisłą, niewielkiej rozległości, lecz dobrze zaludniona. Rynek, piramida, arsenał, kilka domów prywatnych, pałac, zamek i ogród królewski, kościoły jezuitów, św. Jana, św. Marcina godnymi są uwagi. Kobiety tu są ładne, uprzejme i wesołe.

Z tego miasta wybraliśmy się do Krakowa. Już przebyliśmy Tarczyn, Nowe Miasto, Radoszyce...“

Przed Malogoszczem znowu przygoda. Tu zaczął podróżujących szlachcic pytając po łacinie: „Któż ci dozwolił przechodu przez moje terytorium, bez powitania mnie, dziedzica?“ Nie skończyło się na tym dziwnym zapytaniu. Szlachcic zażądał trzech talarów opłaty (widocznie jakiś rodzaj mandatu). Payen posłusznie więc zapłacił.

„Lecz zaledwieśmy się oddalili na sto kroków, gdy ów opętaniec zaczął krzyknąć na naszego woźnicę, aby się zatrzymał, i niebawem spostrzegliśmy szlachcica tuż przy naszej bryce. Usłyszeliśmy nagle, że opłata należy się od osoby, a ponieważ otrzymał tylko trzy talary, należy mu się drugie tyle od



↑ Tak wyglądała Warszawa w czasach gdy oglądał ją Payen. Panorama miasta z r. 1656 zamieszczona w panegirycznym dziele Puffendorfa o wojnach Gustawa.

← Zbrojownia w Gdańsku, renesansowe dzieło holenderskiego architekta A. van Obbergena wg sztychu Deischa z 1765 r. — jedna z najwybitniejszych budowli północnego renesansu w Polsce, dziś całkowicie odbudowana po zniszczeniach ostatniej wojny.

¹ „Podróże Pana Payen, generała porucznika de Meaux, gdzie znajdują się opisy Anglii, Flandrii, Brabancji, Hollandii, Danii, Szwecji, Polski, Niemiec i Italii“.

mego towarzysza. Bez dalszego sporu zapłaciliśmy i tę daninę, lecz zaledwieśmy znowu ujechali sto kroków, nasz szlachcic pędząc za nami zaczął wołać:

— O bydlęta, uciekacie. Dajcie tu znowu, i to zaraz, jeszcze trzy talary za woźnicę i za konia.

Wyznam, że ten ostatni powrót zaczął mnie nieco gniewać, a nie widząc innego środka odczepienia się od owego natręta, wydostałem się z bryki ze szpadą w rękę, chcąc się bronić, lecz ponieważ byłoby to wielką nieroztropnością narazić się w obcym kraju na bójkę, jeśli się nie zna języka i jest się bez pomocy, poszedłem za radą mego cichego towarzysza i zapłaciłem za woźnicę i konie jeszcze trzy talary...

W Krakowie Paycnowi nie spodobał się zamek wawelski. Napisał, że budowla jest bez kształtu, niereprezentacyjna, niemniej jednak jej wewnętrzne urządzenia i wygoda „mogą świadczyć tylko o mieszkaniu jednego z najpotężniejszych władców Europy”.

Ciekawy Francuz zaszedł do mniej reprezentacyjnej dzielnicy miasta, na Kazimierz. I przedstawił potem Kazimierz w niesłychanie ciemnych barwach. Pisz, że jest to przedsiemek piekła, brudny, smrodliwy, zarażony, że „ulice tu są bez bruku, a domy mają tylko jedno piętro; u nas łatwo uchodzilyby one za stajnie. Dzieci tu się bawią, tu śpią i jedzą razem z prosiętami”. A mieszkańcy, mimo posiadanych niejednokrotnie wielkich majątków, są niechlujni, „...ich skąpstwo jest otchłanią, w której nie można znaleźć dna”.

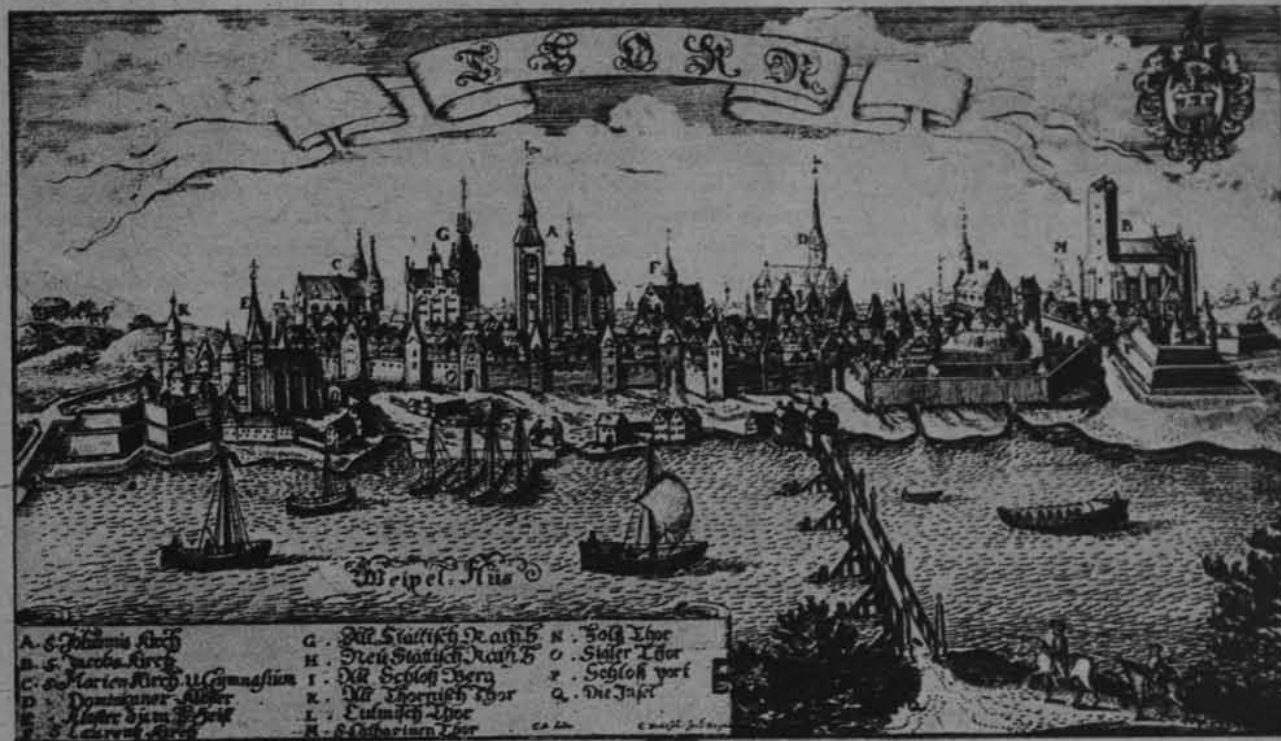
Natomiast podobał się Paycnowi w

Krakowie Rynek, który — jak pisze — „jest pod każdym względem wspaniały, posiada rozległy obazar... jest otoczony czterema wspaniałymi rzędami pałaców

w stylu włoskim, które są zamykane żelaznymi drzwiami i które mogą pomieścić wygodnie władcę i jego świtę”. A sam Kraków nazywa Payen „Rzymem Polski, uniwersytet zaś „córą Uniwersytetu Paryskiego”.

Opracował JÓZEF DUZYK

Siedemnastowieczny Toruń wg współczesnego miedziorytu.



Pierwsza polska stocznia wojenna

Jan Małecki

Gdy ze wzgórz elbląskich spojrzeć na północ, widać połyskującą srebryście w słońcu spokojną powierzchnię Zalewu Wiślanego. Dalej rysuje się już bardzo niewyraźnie ciemna smuga lasów porosłych na piaskach Mierzei Wiślanej, a dopiero za nią, niewidoczne stąd, pienia się fale Bałtyku. Do morza jest daleko — dzieli je od miasta nie tylko odległość dwudziestu kilku kilometrów, ale brak bezpośredniego połączenia wodnego. Dziś port elbląski to mała przystań statków rzecznych na Elbląnce, służąca żegludze śródlądowej: można stąd urządzić przejażdżkę przez Zalew do Krynicy Morskiej albo w przeciwną stronę do Ostródy przez znany szeroko z oryginalnych pochylni Kanał Warmijski. Dzisiejszy Elbląg nie żyje jak dawniej z handlu morskiego i wielkiej żeglugi — jest miastem fabrycznym: większe zakłady przemysłowe kształtują jego oblicze. Wśród nich zaś wysuwają się na czoło Zakłady Mechaniczne im. gen. Świerczewskiego. Wszyscy w Elblągu znają te zakłady, życie miasta jest z nimi ściśle związane. Nazywa się je tu w skróceniu „Zamech” albo najczęściej po prostu „stocznia”. Stocznia? A więc jednak jakiś związek z morzem. W tej popularnej nazwie przetrwała do dziś tradycja słynnych elbląskich stoczní, i to tradycja o wiele starsza i chlubniejsza, niż przypuszcza wielu pracowników Zamechu.

Sama nazwa pochodzi z czasów niemieckich, a jej wyjaśnienia nie trzeba szukać daleko. Naprzeciw głównego budynku Zakładów widać było do niedawna (a może jeszcze do dzisiaj) cokolwiek zburzonego pomnika z wyraźnym niemieckim napisem: „Drogiemu szefowi — urzędnicy i robotnicy”. Był to

pomnik Ferdynanda Schichaua, jednego z największych wschodnio-pruskich kapitalistów, który w r. 1837 założył w Elblągu małą fabryczkę maszyn. Rozrosła się ona z biegiem czasu do rozmiarów ogromnych zakładów przemysłu stocznioowego, wielkich „Schichauwerke” posiadających filie w Gdańsku i Królewcu. Te to wielkie stocznie okrętowe stanowiły rdzeń rozwiniętego w Elblągu w drugiej połowie XIX w. przemysłu, a w czasie ostatniej wojny stały się silnym ośrodkiem produkcji zbrojeniowej. Budowane w elbląskiej stoczni łodzie podwodne miały przynieść na morzach świata zwycięstwo hitlerowskiej flocie.

Nie do tych jednak niechlubnych tradycji chcemy nawiązywać szukając przeszłości elbląskiego budownictwa okrętowego.

W średniowieczu trzy miasta nad Bałtykiem słynęły z budowy okrętów: Lubecka, Gdańsk i Elbląg. W Gdańsku w XV i XVI w. zakupywali okręty nawet Anglicy, Holendrzy, Wenecjanie i Genuńczycy. Od XVI w. jednak zaczął stanowisko Gdańska zagrażać Elbląg — jego poważny konkurent w handlu bałtyckim. W stocznich elbląskich budowali statki Fryzowie i Holendrzy, a wreszcie sami elblążanie. Flota elbląska niejednokrotnie wspomagała wojska polskie w działaniach wojennych na wybrzeżach Bałtyku. W czasie wojny 13-letniej, gdy decydowały się losy Pomorza gdańskiego, sprzymierzone z Polską floty Gdańska i Elbląga przyczyniły się walcnie do zwycięstwa nad Zakonem. Jednym z najbardziej decydujących momentów wojny była bitwa morską rozegrana 15 września 1463 r. na wodach Zalewu Wiślanego pod

Elblągiem. Dwadzieścia pięć statków połączonej floty Gdańska i Elbląga (na pokładzie statków elbląskich byli też polscy żołnierze zaciężni) zadąło druzgocącą kłeskę flocie i armii krzyżackiej, zdobywając wszystkie okręty i łodzie. W trzy lata później nastąpił pokój toruński, przywracający Polsce wybrzeże bałtyckie i ziemie pomorskie, a m. i. Elbląg. W Polsce zaczyna się myśleć o stworzeniu floty. Jej zaczątkami stają się statki kaperskie. „Strażnicy morza”, kaprowie, czyli wolni korsarze działający na mocy przywileju królewskiego mają zwalczać na morzu floty nieprzyjacielską i konfiskować na własne dobro i na rzecz skarbu królewskiego statki handlowe państw nieprzyjacielskich. Flotą tą kieruje stworzona w r. 1568, pod kierownictwem kasztelana Jana Kostki, Komisja Morska urzędująca w Gdańsku. Prowadzące własną politykę, ufne w swe bogactwa miasto popada wkrótce w konflikt z Komisją. Gdańszczanie pozwalają sobie pochwycić i stracić kaprów królewskich. Dlatego też — chociaż rajcy gdańscy zostali ukarani, a król zatwierdził kaprom bazę morską w Gdańsku — zaczęto z większym zaufaniem zwracać się w kierunku Elbląga mającego znacznie gorsze warunki naturalne.

Tak zasłużony dla rozwoju polskiej marynarki król Zygmunt August powziął pod koniec życia doniosłą decyzję budowy regularnej floty polskiej. Na miejsce budowy obrano stocznice elbląską. Elbląg więc — nie Gdańsk, ten główny port Rzeczypospolitej — miał oglądać powstanie regularnej marynarki wojennej Polski. Wiosną 1570 r. król osobiście powołał na budowniczych

okrętów dwóch mistrzów włoskich z Wenecji: Dominika Zaviavelo i Jakuba de Salvatore. W Elblągu i pobliskim Pasłęku najęto potrzebnych robotników: zdunów, cieśli, kowali i już 8 marca rozpoczęto pracę. Włosi sami wybrali w lasach koło Dzierzgonia drewno na budowę, które uzupełniono zakupionym na rynku gdańskim i elbląskim pierwszorzędnym budulcem z głębi Polski. Budowa postępowała wartko naprzód. Kierowała nią Komisja Morska. Przewodzący jej kasztelan Kostka wyznaczył do czuwania na miejscu nad postępem prac i prowadzenia rachunków swego podskarbię Jana Bąkowskiego i Mikołaja Eichsteta. Budowano przede wszystkim wielki żaglowiec wojenny: galeonę według modelu wykonanego przez mistrzów włoskich. Bąkowski skrupulatnie zapisywał dzień w dzień wydatki związane z budową, w księdze zatytułowanej „Registr przytemu i wydania pieniędzy na potrzebe galiony”. Obok większych, zapisywano tam i wszystkie drobne wydatki, jak np.:

„11 julii (lipca), gdy przyjmował cieśleń, musiałem dać na piwo jeden złoty; 18 julii sześci cieślom, com jeździł po nie do Brunsberku (Braniewo) dalem na piwo złoty”.

Albo w innym miejscu rejestru:

„24 augusti zapłacił Eichstet we Gdańsku maszty, a było wszystkiego drzewa sztuk 16, za które dał jednemu kupcowi sto złotych i dwadzieścia i siedm złotych groszy osmnaście”.

W ciągu lata i jesieni 1570 roku sporządzono dębową konstrukcję okrętu, a następnie dokonano obicia burt sosnowymi i klonowymi deskami. Zimą przerwała pracę. Wiosną następnego roku zakończono roboty ciesielskie i ko-

walskie. Zaczęło się uszczelnianie pakulami dziur, luk, smołowanie i malowanie. Wreszcie nastąpił uroczysty dzień spuszczenia na wodę pierwszego regularnego polskiego okrętu wojennego. Odbyło się to wesoło według obyczaju weneckiego. W dniu tym Bakowski zapisał w swej księdze rachunkowej:

„14 junii (czerwca) to jest dzień Boże Ciała, gdy mistrz Dominico spuszczał okręt na wodę, tedy pierwiej spuścić nie chciał, powiedając, iż ten obyczaj jest Wenecy, gdy okręt spuszcza, tedy to bywa z wielkim weselem, ja widząc jego przedsięwzięcie dałem trębaczowi groszy 13, 15 junii, gdy spuszczano okręt na wodę... tedy im kupił wazę piwa, za którąm dał florenów 4”.

Galeona była pięknym, najnowocześniejszym na owe czasy dwumasztowym żaglowcem. Nie zachował się nam niestety jego wizerunek ani model. Współcześni nazywali go „wielkim okrętem”, przewyższał bowiem rozmiarami statki w porcie elbląskim. W rzeczywistości należała galeona do okrętów średniej

wielkości (miała ok. 500 ton pojemności, obliczona była zapewne na kilkunastu ludzi załogi i 20—45 dział), tj. takich, które wówczas największą odgrywały rolę. Koszt jej budowy był stosunkowo niewielki — z górą 7000 złotych. Oprócz galeony zbudowano wówczas jednomasztową fregatę, która miała spełniać zadania wywiadowcze oraz jednomasztową łódź pomocniczą — mały bacik. Jeszcze w ciągu 1571 r. pracowano nad wyposażeniem galeony — sprowadzono ożaglowanie i cztery kotwice, umieszczono na dziobie wyrzeźbioną głowę smoka, stanowiącą zapewne symbol nazwy okrętu.

Śmierć króla w r. 1572 przerwała pracę nad zakończeniem kompletnego wyposażenia galeony. Przyszło jedno a potem wkrótce drugie długie bezkrólewie. Zainteresowania polskiej szlachty i mężów stanu odbiegły daleko od spraw morskich. Stały się one znów aktualne dopiero, gdy po wstąpieniu na tron Stefana Batorego rozpętała się na Pomorzu nowa burza wojenna: zbuntowany Gdańsk, wspomagany przez Duńczyków, rozpoczął otwartą walkę

z wojskami królewskimi. Batory chcąc złamać opór miasta skierował spław wiślany do Elbląga, tu też zaczął organizować flotę do walki z Gdańskiem. Miała w niej także odegrać ważną rolę stojąca spokojnie w przystani galeona.

W ciągu 1577 roku stanęło w Elblągu pod banderą królewską sześć dużych statków, do których wyposażenia wydatnie przyczyniło się miasto. We wrześniu dokonano na Zalewie Wiślanym przeglądu nowej floty polskiej. Elbląg przeżywał swoje wielkie dni. Miały się one jednak wkrótce tragicznie skończyć. Król odstąpił od oblężenia Gdańska, załogę okrętów rozpuścił. Potrafił jednak skierowaniem handlu do Elbląga poważnie zagrozić interesom Gdańska, który nie chciał się z tym pogodzić. W połowie września 1577 r. flota gdańsko-duńska napadła na Elbląg, gdzie stały opuszczone okręty floty królewskiej. W toku trzydniowej bitwy spłonęła część Elbląga, wrogowie zagarnęli okręty polskie i kilka z nich zatopili w Elbląże blokując w ten sposób wejście do portu. Tak zemścił się Gdańsk

na swym konkurencie. Niedługo trwał już okres świetności gospodarczej Elbląga. W wieku XVII miasto zaczęło chylić się ku upadkowi i w tworzeniu nowej floty polskiej, tym razem do walki ze Szwedami, odegrało minimalną rolę. A potem przyszyły czasy upadku Rzeczypospolitej. O sprawach morskich coraz mniej myślano. Elbląg z biegiem czasu przekształcił się z portu morskiego w miasto przemysłowe i jako takie wrócił w roku 1945 do Polski.

Gdy dzisiaj z malej przystani elbląskiej odplywa w dół rzeki w kierunku Zalewu Wiślanego mały stateczek pasażerski, pozostawia za sobą najpierw ruiny starych mieszczańskich domów, a potem rozległe zabudowania Zakładów Mechanicznych.

Sunąc po wodach spokojnej Elbląki, będących widownią narodzin regularnej floty polskiej, można oczyma wyobraźni ujrzeć tam żagle dawnych statków elbląskich i znaczone białoczerwoną banderą maszty „Strażników morza”.

Jan Malecki

Eleonora Wiatrolik

KOŁOBRZEG W CZESNOPOLSKI

Gród kołobrzegi nie znajdował się początkowo w tym miejscu co dzisiejsze miasto. Mieścili się tu jedynie położone nad Parsętą warzelnie soli oraz, być może, także osada rybacka i mały gródek, broniący dostępu od strony morza. Właściwy gród stał około 3 km na południe od ujścia Parsęty na niewielkim piaszczystym wzgórzu morenowym, na terenie dzisiejszego Budzistowa, zwanego niegdyś Starym Miastem. Być może, grody wzniesione nad samym brzegiem były w owym czasie narażone na niebezpieczeństwo napadów piratów morskich.

Stary Kołobrzeg rysuje się dzisiaj w terenie dość wyraźnie. Archeologowie zdołali wyróżnić obszar byłego grodu oraz rozciągających się po obu stronach od północy i południa rozległych podgrodzi. Pokaźne wzniesienie, na którym znajdują się zabudowania gospodarcze, ogrody i pola uprawne, jest w znacznej mierze tworem sztucznym.

Zabudowania mieszkalne i gospodarcze, umocnienia drewniano-ziemne, ulice wymoszczone drewnem uległy w ciągu wieków powolnemu niszczeniu, a na ich miejscu wznoszono nowe konstrukcje. Jeżeli dodamy do tego działalność gospodarczą, rzemieślniczą, handlową i rolniczą to możemy sobie wyobrazić proces narastania warstw osadniczych, powodujący w ciągu stuleci powolne podnoszenie się poziomu.

Każda warstwa kulturowa jest dokumentem historycznym, zawierającym przedmioty pozostawione w niej w określonym czasie. Układ warstwowy pozwala odczytać dzieje miasta w kolejnych, następujących po sobie okresach. Archeolog zdejmując po kolei warstwy kulturowe odczytuje i odtwarza ślady działalności ludzkiej w badanych przez siebie miejscu, uzupełniając historyczne źródła pisane.

Kronika biskupa merseburskiego Thietmara (XI wiek) mówi nam o utworzeniu około roku 1000 biskupstwa w Ko-

łobrzegu, podlegającego arcybiskupowi gnieźnieńskiemu. Kołobrzeg został więc w ten sposób uznany za ówczesną stolicę Pomorza. Kronikarz ten opisuje Kołobrzeg jako wielkie i bogate miasto. Po upływie 100 lat, kiedy Pomorze zachodnie odpada od Państwa Piastowskiego, Gall (XII wiek) opisuje dwie wyprawy Bolesława Krzywoustego na gród kołobrzegi, w owym czasie siedzibę księcia pomorskiego. Szereg dokumentów z XII i XIII wieku wskazuje na duże znaczenie w rozwoju Kołobrzegu eksploatacji soli z miejscowych źródeł słonych oraz handlu i rybołówstwa.

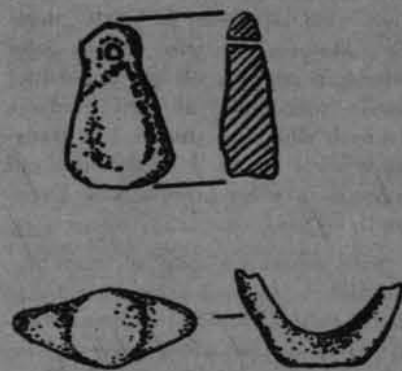
Prace wykopaliskowe, prowadzone w

Kołobrzegu od 1954 roku, uzupełniły w znacznej mierze skąpe dane zaczerpnięte z kronik. Tak więc dzieje grodu wczesnopolskiego rozpoczynają się w świetle wyników dotychczasowych badań archeologicznych w IX wieku n. e. Obszar grodu z tego czasu był znacznie mniejszy od dzisiejszych jego zarysów. Otaczał go wał drewniano-ziemny, który uległ zniszczeniu w końcu XI wieku. W tym mniej więcej czasie następuje rozbudowa grodu w kierunku północnym i południowym w postaci rozległych podgrodzi.

Znajdowała się tu siedziba księcia, jego dworu i drużyny. Na podgrodziach, otoczonych zapewne niewielki-



Panorama Kołobrzegu ok. roku 1650, wg Mateusza Meriana, szwedzkiego ilustratora nadwornego.



Kołobrzeg — Budzistowo. Zawieszka i pierścień z bursztynu z przełomu XI i XII w. n. e.

mi wałami, zamieszkiwała ludność trudniąca się rzemiosłem, handlem, w mniejszym stopniu rolnictwem i hodowlą. Tutaj też mieścił się targ i — jak można się zorientować z obserwacji terenu — w niewielkiej zatoce rzecznej dogodna przystań dla statków.

O bogactwie podgrodzia mówią już niektóre źródła pisane. Gall w relacjach o oblężeniu Kołobrzegu przez Krzywoustego mówi, że bogactwa nagromadzone na podgrodzium zaślepily oblegających gród rycerzy i większość z nich rzuciła się na rabunek. Niewielu tylko prawych rycerzy uderzyło na brame miasta, ale odparł ich stamtąd tłum broniących się mieszkańców.

Wykopaliiska poświadczają wysoki poziom rzemiosła, główną podstawę gospodarki grodu obok handlu i produkcji soli. Stwierdzono istnienie wysoko rozwiniętego garncarstwa, hutnictwa i kowalstwa. Trudniono się tu również wyrobem przedmiotów z rogu, bursztynu i złota. O rozmiarach handlu z Polską i krajami zamorskimi mówią pośrednio wiadomości przekazane nam m. in. przez Herborda, towarzyszącego misji biskupa Ottona na Pomorzu (XII wiek n. e.). Nadmieniam on, że gdy biskup przybył do miasta, prawie wszyscy obywatele kołobrzescy, zwyczajem kupców, przebywali na zamorskich wyspach. Potwierdzają to dobitnie również tzw. skarby, to jest skupiska monet i ozdób z X i XI wieku, znajduwane w okolicach Kołobrzegu.

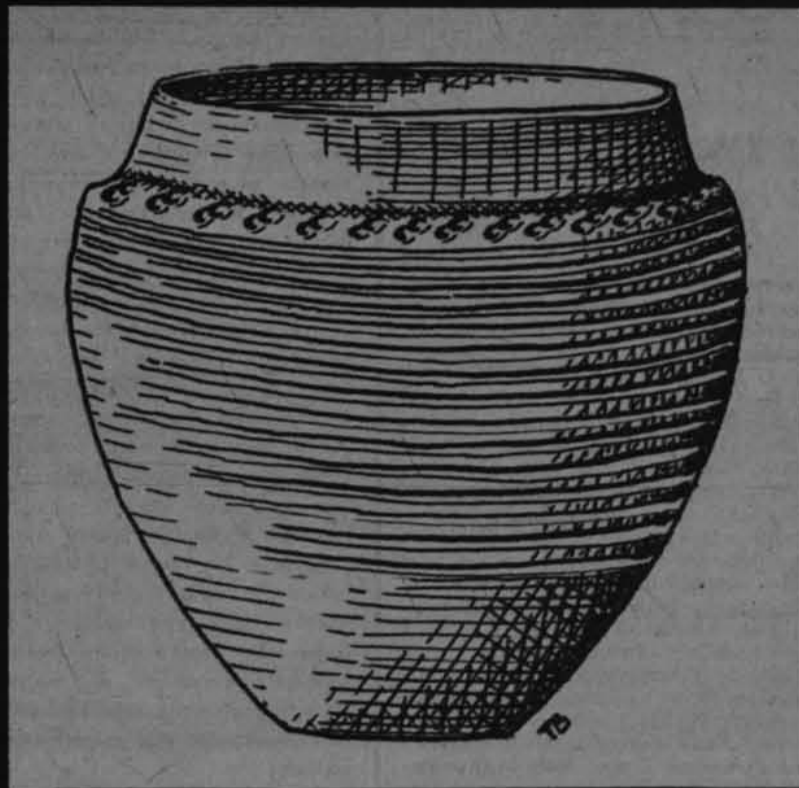
O kontaktach Kołobrzegu z państwami skandynawskimi i państwem kijowskim świadczą niektóre wydobyte z ziemi zabytki, jak np. ozdoby i przedmioty codziennego użytku. Obok handlu zamorskiego dużą rolę odgrywała wymiana między grodem kołobrzesckim i grodami z dalszych ziem Polski, przy czym głównym towarem wywożonym z Kołobrzegu była sól. Dokumenty pisane z XII i XIII wieku mówią wyraźnie o tym, że sól kołobrzescką wywożono na Śląsk.

Rolnictwo miało w okolicach Kołobrzegu dogodny warunki glebowe. Wiele osad wiejskich, zależnych od grodu, dostarczało produktów rolnych jako daniny na rzecz księcia.

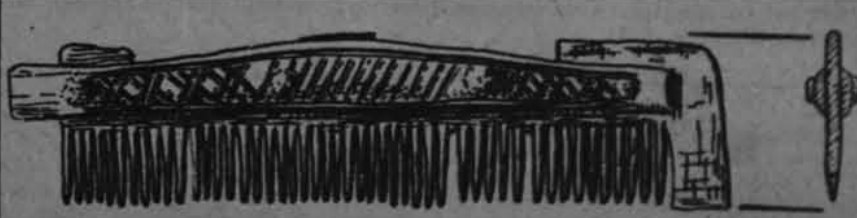
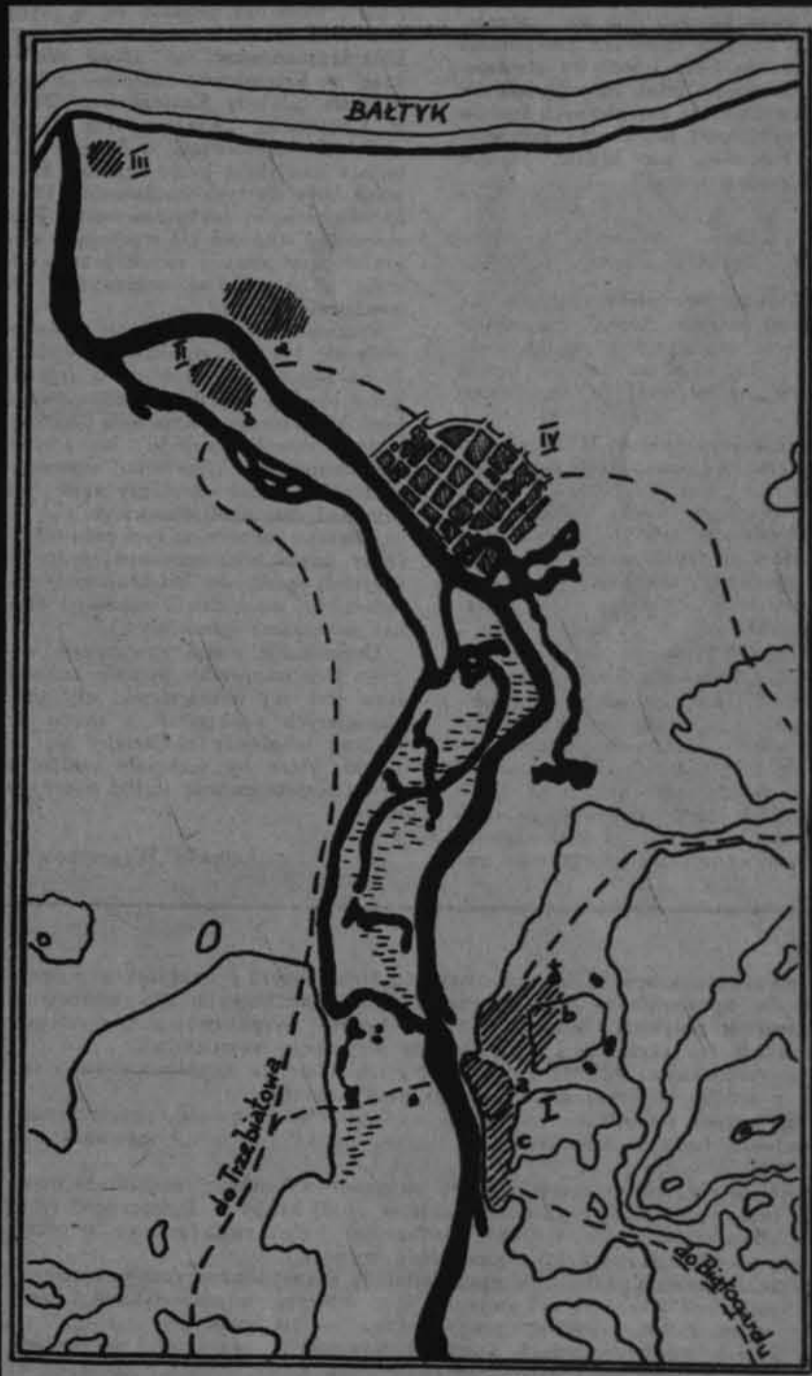
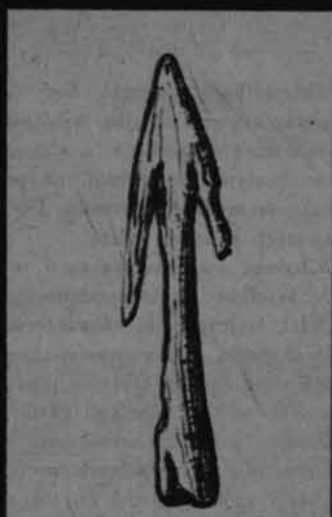
Kołobrzeg jako silny ośrodek gospodarczy miał też niemałe znaczenie polityczne na Pomorzu Zachodnim. Szereg danych wskazuje, że odgrywał on prawdopodobnie pewną rolę w kształtowaniu się organizacji plemiennych w tej części Pomorza Zachodniego. Wokół Kołobrzegu i sąsiedniego Białogardu niektórzy uczeni próbują lokalizować plemię Zeruiani, znane ze źródeł pisanych IX wieku.

Założenie tu biskupstwa w roku 1000, przebywanie w początku XII wieku nieznanego z imienia księcia pomorskiego, i wreszcie wyprawy Krzywoustego na ziemię kołobrzescką wskazywać mogą, że tu mieścił się główny ośrodek kształtującej się we wczesnym średniowieczu zachodnio-pomorskiej organizacji państwowej.

W drugiej połowie XII wieku i w wieku XIII Kołobrzeg pełni funkcję grodu kasztelańskiego, zarządzanego przez dwóch kasztelanów. Stary Kołobrzeg zaczyna tracić swoje znaczenie i w połowie XIII w. powstaje przy ujściu Parsęty miasto średniowieczne, lokowane na prawie niemieckim. W tym okresie Pomorze zachodnie zaczyna zalewać element niemiecki, są to początki germanizacji ziemi pomorskiej, trwającej aż do momentu wyzwolenia.



Kołobrzeg — podgrodzie. Obleżenie przez Krzywoustego w 1108 r. (z X. i XI w. n. e.).



O KOŚCIOŁKU W TARCZKU

Ostatnio otrzymaliśmy list od jednego z naszych czytelników, zwracający uwagę na niepokojący stan, w jakim znalazł się obecnie cenny zabytek architektury średniowiecznej.

„...Kościółek w Tarczku stoi u progu ruiny. Mury i dach nadgryzione kilkukrotnym działaniem tzw. zęba czasu, prawie zupełnie nie poprawiane, zaczynają się powoli rozsypywać. Ponieważ w podobnym stanie znajdowało się również wnętrze, miejscowy proboszcz ze składek ludności postanowił przeprowadzić częściowy remont. W czasie remontu, po zdjęciu wierzchniej warstwy tynku z kamiennych ścian, ukazały się na nich zabytkowe malowidła. Zwiadomiony o tym wojewódzki konserwator w Kielcach, wydał zakaz przeprowadzania jakichkolwiek dalszych robót, a Pracownia Konserwacji Zabytków w Krakowie opracowała dokumentację odbudowy kościółka w jego pierwotnej formie (kościół był kilkakrotnie przebudowywany). Niestety na tym się skończyło. Cenne niewątpliwie malowidła od kilku lat niszczenia nie zabezpieczone, a wnętrze kościółka przypomina plac budowy. Czas i wpływ atmosferyczne działają i jeżeli natychmiast nie przedsięwzięć się energicznych kroków w celu odbudowy lub choćby zabezpieczenia kościółka, nie będzie wkrótce już co rekonstruować”.

Do Redakcji „Ziemi”

Z radością powitałem ukazanie się pierwszego zeszytu „Ziemi” i z zainteresowaniem przeczytałem go od deski do deski. Rad bym też sam coś niecoś przyrzucić do interesującej treści tego zeszytu.

Przy czytaniu rubryki „Krajoznawstwo za granicą” nasunęła mi się uwaga, że przecież i u nas podejmowano prace, które wspomagały naukę polską materiałami systematycznie zbieranymi w terenie. Mam na myśli przede wszystkim prace młodzieży skupionej w kołach krajoznawczych Polskiego Tow. Krajoznawczego.

Pracami kół krajoznawczych młodzieży szkolnej kierowała komisja zarządu głównego P.T.T.K., cel ich pracy ujmowała w hasło: „Poznaj swój kraj i Ojczyznę służ” i zachęcała młodzież do służby nauce polskiej. Organem kół krajozn. młodz. szk. był „Orli Lot” miesięcznik, który kierował pracami młodzieży, drukował kwestionariusze przygotowywane przez specjalistów na-

ukowych tej miary co prof. K. Nitsch (językoznawca), prof. Wł. Szafer (ochrona przyrody i inwentaryzacja zabytków przyrody), prof. K. Moszyński, dr J. Klimaszewska, S. Udziela, prof. A. Fischer (etnograficzne), prof. M. Klimaszewski (krajobraz polski), Wanda Kalwaryjska (zabytki sztuki) prof. R. Jamka (prehistor.) i in.

W wyniku otrzymywaliśmy prace młodzieży, które przewyższały oczekiwania nasze. Oto Polska Akademia Umiejętności wydrukowała pracę uczniów seminarium nauczycielskiego w Tomaszowie Mazowieckim przygotowaną pod kierunkiem prof. dra Tadeusza Seweryna pt.: *Zamki drewniane przy drzwiach*. Towarzystwo Muzeum Etnograficznego w Krakowie wydało pracę uczennicy kl. VII gimnazjum X w Krakowie, Anny Kutrzebianki: *Budownictwo drewniane Zawoi*. Koło krajoznawcze uczniów wydało pracę monograficzną ucznia Jaślara pt. *Harców*. Wiele materiałów zebranych przez młodzież szkolną zawierają roczniki „Orlego Lotu”, wiele też ukazało się w piśmie uczniowskich wydawanych przez koła krajoznawcze, jak: „Nasz Widok” w Krzemieńcu, „Młody Geograf” w Jaśle, „Młody Krajoznawca Śląski” w Chorzowie, „Krajoznawca Drogi” w Zabrze, „Kociewiak” w Tczewie. Materiały nadsyłane przez uczniów kierowane były do tych naukowców, którzy kwestionariusze przygotowywali. I tak np. dotąd studenci UJ studiujący etnografię przy pisaniu swych prac korzystają z materiałów zebranych przez młodzież.

Pracami naszej młodzieży interesowała się też i zagranica: wysyłałiśmy je na wystawę do Dublina w Irlandii, gdzie obudziły wielkie zainteresowanie, prof. Hruszowski z Klasztoru pod Zniewom, Słowak, polecał w artykule umieszczonym w „Sborniku” słowackich profesorów prace młodzieży naszej jako przykład dla szkół słowackich.

Poważne sukcesy na tym polu osiągałiśmy dzięki bezinteresownej pracy nauczycieli-opiekunów kół krajoznawczych młodzieży, no i dzięki zapalowi ofiarnej pracującej młodzieży.

Organizację naszą zawieszono w r. 1950. Dziś nasuwa się pytanie, czy możliwe jest jej wskrzeszenie, czy wśród dzisiejszych nauczycieli i wśród dzisiejszej młodzieży znalazłoby się jednostki, które by zechciały podjąć na nowo bezinteresowną służbę nauce polskiej.

Leopold Węgrzynowicz

Pracownia naukowo-badawcza Instytutu Urbanistyki i Architektury przystąpiła do opracowania planów rozwojowo-porządkowych dla uzdrowisk i wczasowisk polskich. Jednym z typów będzie „wczasowisko z występującą funkcją turystyki, lecz nie związane z funkcją lecznictwa”.

Za pośrednictwem ZIEMI Pracownia zwraca się do krajoznawców i turystów z prośbą o wypełnienie następującej ankiety:

1) Jaki zespół warunków powinien cechować miejscowość, przewidzianą do pełnienia funkcji wczasowiska? (wymienić te warunki, najważniejsze podkreślić).

2) Jakie istniejące wczasowiska nie związane z funkcją lecznictwa uważam za czołowe w skali regionu, a jakie w skali kraju — i dlaczego? (wymienić kilka; czołowe w regionie podkreślić jeden raz, czołowe w skali krajowej — dwa razy; krótko uzasadnić wybór).

3) Jakie zmiany należałoby przeprowadzić w zagospodarowaniu przestrzennym istniejących wczasowisk? (wymienić, w których wczasowiskach i jakie zmiany; najważniejsze zmiany proponowane — podkreślić).

4) W jakich miejscowościach powinny powstać w przyszłości wczasowiska w skali regionu — i dlaczego? (wymienić kilka; czołowe podkreślić; krótko uzasadnić propozycję).

W odpowiedziach, które ułatwią Pracowni właściwe ujęcie tematu, prosimy podawać wiek, zawód i miejsce zamieszkania.

Odpowiedzi prosimy kierować pod adresem redakcji, z zaznaczeniem na kopercie „Ankieta I. U. A.”

Zanim przeczytacie w następnym numerze ZIEMI obszerną recenzję POD WIERCHAMI TATR Saysae-Tobicyka, zapoznając się dobrze z tą interesującą książką.

Licznym czytelnikom, którzy zapytywali nas o literaturę traktującą o Bieszczadach, polecamy NA NARTACH PRZEZ BIESZCZADY Pawła Czartoryskiego.

Jest rzeczą wiadomą, że charakterystyczne tradycyjne oblicze osiedla wiejskiego w Polsce ulega po ostatniej wojnie daleko idącym i szybko postępującym zmianom. Zwłaszcza budownictwo drewniane ustępuje na niektórych terenach masowo nowowznoszonym budynkom murowanym, nie mającym przeważnie większej wartości architektonicznej, nie wykazującym w swym charakterze powiązania z regionem i na skutek niewłaściwych lokalizacji przekreślających wartości krajoznawcze i urbanistyczne wsi. Błędy projektantów budownictwa wiejskiego w dużej mierze są wynikiem niezajomości tradycyjnego budownictwa ludowego danego regionu. Budownictwo to na niektórych terenach występuje jeszcze stosunkowo pospolicie. Na innych jednak dziś spotykamy je coraz rzadziej, a liczba zabytków tego typu maleje z każdym dniem. Do zaniku budownictwa drewnianego przyczynia się walcie powszechny niedobór drewna jako materiału budowlanego oraz upadek sztuki ciesielskiej.

Teren województwa bydgoskiego już od dawna w swych przeważających częściach pozbawiony został swego budownictwa ludowego. Obecnie w związku z inwentaryzacją zabytków sztuki, zapoczątkowaną na tym terenie z inicjatywy Państwowego Instytutu Sztuki, ujawnił się rzeczywisty obraz stanu zabytków budownictwa tego regionu.

W powiecie wąbrzeskim, podobnie jak i w sąsiednich, zachowały się za-

chalup drewnianych, pozbawionych jednak cenniejszego detalu; ich wartość tkwi w szlachetnych proporcjach i zachowanej fragmentarycznie dawnej stolarce okien i drzwi.

Grupa dawnych chalup zachowała się również w Stanisławkach. Są to domy przeważnie z pierwszej połowy XIX w. (z nich jeden z r. 1838). Plany domów mają kształt wydłużonych prostokątów, przeważnie z częścią gospodarczą oddzieloną sienią. W wejściach często występują drzwi „klepkowe”. W jednym z domów skromne nadproże wycięte jest w prymitywny motyw tzw. „ośle go grzbietu”, występujący od XVI wieku w budownictwie kościelnym. Analogiczny przykład reprezentuje chałupa nr 17 w Rożentalu, obok której zachowała się stara stodoła. Poza tym istnieje jeszcze kilka pojedynczych domów z wieku XIX o mniejszej wartości. Są to ostatnie drewniane chalupy w powiecie.

W Jarontowicach popadł ostatnio w ruinę drewniany kościółek ewangelicki z roku 1785, który winien być traktowany jako szczególnie cenny zabytek, gdyż stanowi przykład zupełnie odosobniony. Powierzchnie niewiele się różni od chałupy: prostokątny, z wysokim dachem dwuspadowym krytym strzechą, o maleńkich okienkach z niepozornym wejściem. Szczyt wieńczy strzelista wieżyczka, zapewne później dodana. Cztery stare drzewa zasadzone tuż przy narożnikach ocieniają szeroko rozrośniętymi konarami skromny kościółek. Całość zagubiona w bezkresnym.

BUDOWNICTWO DREWNIANE W POWIECIE WĄBRZESKIM

Marian Kordecki

ledwie tylko pojedyncze okazy dawnego budownictwa, z rzadka występujące w niewielkich skupiskach, a i te objekty, poza małymi wyjątkami nie przedstawiają szczególnej wartości. Do najciekawszych zaliczyć należy:

Chałupę podcieniową nr 5 w Pułkowie Wielkim, prawdopodobnie z wieku XVIII, należąca do charakterystycznej dla regionu grupy występującej nierzadko dość licznie. Obecnie posiada ona wartość unikatową. Chałupa zwrócona jest szczytem do drogi, wzniesiona na podmurowaniu z głazów narzutowych, konstrukcji zrębowej. Od frontu znajduje się podcienie, wsparte na czterech profilowanych i rzeźbionych słupach z miedziami. Wysoki dach dwuspadowy pokryty strzechą. Obecny stan budynku jest bardzo zły. Zamieszkujące go kobiety nie mają żadnych możliwości przeprowadzenia niezbędnego zabezpieczenia chałupy.

Chałupę nr 62 w Radowiskach Wielkich, zapewne z wieku XVIII, choć tradycja miejscowa przypisuje jej trzysta lat istnienia. Typ również bardzo charakterystyczny — obecnie o wartości unikatowej. Usytuowana szczytem do drogi chałupa posiadała pierwotnie podcienie w narożniku wsparte na jednym ozdobnym słupie z miedzianymi. Podcienie dziś już zostało zniszczone, chociaż podtrzymujący je słupek zachował się jeszcze w narożniku. Budynek wymaga remontu.

W Pułkowie Wielkim i Radowiskach Wielkich występuje jeszcze po kilka

równinnym krajobrazie stwarza wrażenie miłe, pełne uroku i nastroju.

Wnętrze puste i zdewastowane. Urządzenie zniszczone i rozkradzione — kościółek służy za przydrożną ubikację.

Wypadnie wspomnieć o jeszcze jednym elemencie krajobrazu tych okolic, o wiatrakach. W powiecie zachowały się cztery: w Pułkowie Małym, Osieczku, Kurkocinie i Rywałdzie. Pierwsze trzy, tzw. „koślaki”, nie należą do najcenniejszych okazów. Czwarty, w Rywałdzie, typu „holenderskiego”, popadł w zupełną ruinę i straszy już tylko odartym szkieletem z oblamanymi kikutami skrzydeł.

Jak widać, sytuacja zabytkowego budownictwa drewnianego w powiecie wąbrzeskim jest więcej niż poważna. Nawet objekty o mniejszej wartości artystycznej mają tu duże znaczenie, są bowiem ostatnimi przykładami dawnego budownictwa ludowego tych terenów — i już dziś zurbanizowanych obszarów. To też zdaniem naszym należy:

1) Niezwłocznie objąć troskliwą akcją ochrony wszystkie wyszczególnione zabytki budownictwa.

2) Natychmiast przystąpić do ratowania chałupy podcieniowej w Pułkowie Wielkim i kościółka w Jarontowicach i wyciągnąć konsekwencje w stosunku do winnych jego dewastacji. Nie można zapomnieć też o dokonaniu inwentaryzacji pomiarowej najważniejszych zabytków.

3) W pracy oświatowej i krajoznaw-

1 Chalupa z połowy XIX wieku. Stanisławki pow. Wąbrzeźno. Wszystkie zdjęcia i rysunki autora.

2 Chalupa (prawdopodobnie z w. XIX) w Radowiskach Wielkich nr 62, pow. Wąbrzeźno. Rekonstrukcja stanu pierwotnego.

3 Kościółek ewangelicki z r. 1785 w Jarontowicach pow. Wąbrzeźno.

4 Podcień chalupy pochodzącej prawdopodobnie z XVIII wieku. Pułkowo Wielkie nr 5, pow. Wąbrzeźno.

5 Jeden z czterech zachowanych w pow. wąbrzeskim wiatraków. Wieś Pułkowo Małe.

6 Szczytowe elewacje chalupy podcieniowej. Pułkowo Wielkie, pow. Wąbrzeźno.

7 Plan orientacyjny chalupy podcieniowej z XVIII w. Pułkowo Wielkie nr 5.

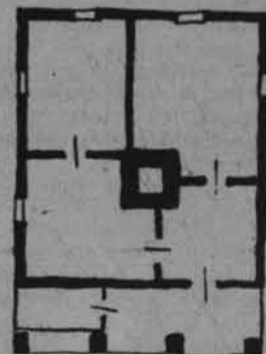


2



6

7



5



3



czej, zwłaszcza wśród miejscowej młodzieży, należałoby zwrócić szczególną uwagę na konieczność zachowania i opieki nad tymi ostatnimi w powiecie zabytkami budownictwa drewnianego.

Marian Kornecki

4

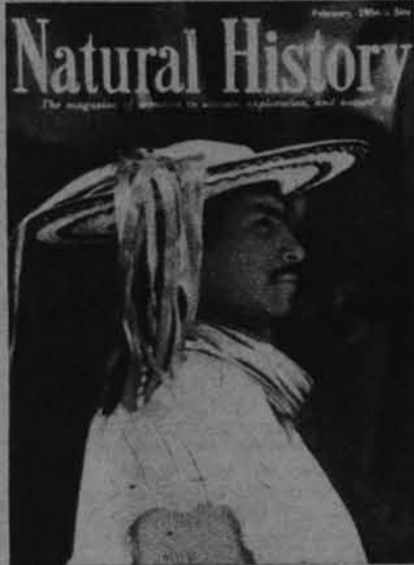


.....Nadciąga noc, a z nią burza. Kuter straży przybrzeżnej płynie śladem trzech lodowych gór. Wiejący z szybkością 50 mil na godzinę wicher szorstwom chłoczące olinowanie. Spienione fale przewalają się przez pokład kręcąc kutrem jak drzazga w ręku olbrzyma... Zespół najlepszych na świecie obserwatorów gór lodowych pracuje. Pomimo sztormu śledzą oni każde poruszenie lodowych widm. W końcu nadchodzi świt. Morze stopniowo uspokaja się... Obserwatorzy podsumowują swe nocne spostrzeżenia dotyczące wiatru, temperatury, morza, burzy i trzech lodowych gór. Trzeszczy na falach eteru raport nadawany do Argentii, głównej centrali Lodowego Patrołu".

W ten sposób amerykański miesięcznik „Natural History” opisuje codzienną pracę Międzynarodowego Patrołu Lodowego, działającego na północny wschód od wybrzeży Stanów Zjednoczonych, w rejonie Nowej Fundlandii.

Ilustrowany magazyn „Natural History” nie jest bynajmniej pismem krajoznawczym w ścisłym tego słowa znaczeniu, chociaż szereg jego artykułów ma charakter krajoznawczy. Wydaje go w Nowym Jorku Amerykańskie Muzeum Historii Naturalnej. Podtytuł wyjaśnia, że magazyn pragnie zapoznać czytelnika z najnowszymi osiągnięciami naukowymi, ze szczególnym uwzględnieniem nauk przyrodniczych. Redakcja nie ogranicza tematyki miesięcznika do obszaru Stanów Zjednoczonych lub nawet kontynentu amerykańskiego. Tematów dostarcza jej cały świat. Obok wspomnień strażnika z amerykańskiego parku narodowego mamy tu reportaż z Nepalu. Obok omalże nie zakończonych tragicznie przygód Harolda Schulza wśród Indian Umutina z Matto Grosso znaleźć możemy artykuł o tyrolskim malarstwie ludowym sprzed 200 lat. W tym samym numerze, w którym wraz z autorem artykułu *Przez nieznaną Thailand* wędrujemy dżunglą północnego

Alaski oraz nadgranicznych obszarów krajów sąsiednich. One bowiem reprezentują krajoznawczą część tematyki miesięcznika. I tu spostrzegamy, że krajoznawstwo w Stanach Zjednoczonych, a przynajmniej krajoznawstwo w wydaniu „Natural History” ma nieco inne



(z prawej) — Bohater jednego z artykułów „Natural History” — opossum. Zwierzak przybywa do Stanów Zjednoczonych z portów południowej Ameryki, ukryte w skrzyniach z bananami.

Lotnik Międzynarodowego Patrołu Lodowego obserwuje ruchy gór lodowych, zagrażających morskim szlakom komunikacyjnym.



atrakcyjności jednak dodają miesięcznikowi reportaże fotograficzne z życia owadów i zwierząt, opatrzone zwięzłym komentarzem. Dzięki nim możemy obserwować przemiany w życiu motyla, dzięki nim stajemy wraz z dokerami amerykańskich portów oko w oko z małym opossum, przybyszem „bez paszportu” w ładunkach bananów z południa. Warto przy tej okazji zaznaczyć, że liczne reportaże fotograficzne z życia zwierząt jeszcze bardziej chyba przyczyniają się do popularyzacji znanego dziś w Stanach Zjednoczonych sportu „łowów”, z aparatem fotograficznym w ręku. Popularyzacja tej gałęzi fotografii niewątpliwie oddaje amerykańskiemu krajoznawstwu niemałe usługi. Wydaje się, że sport ten można by stosunkowo łatwo spopularyzować na szeroką skalę



Syjamu spotykamy opis huraganu, który niosąc ze sobą masy rosnącej w okolicy kolczastej trawy, potrafił na krótki okres czasu sparaliżować ruch uliczny miasteczka w Nowym Meksyku. Z tego samego numeru również dowiemy się o olbrzymich, przeszło metrowej długości, australijskich glistach ziemnych, a także o malowniczych utworach skalnych w stanie Utah.

Spośród tak urozmaiconego i bogatego wyboru artykułów amerykańskiego miesięcznika, nas w tym wypadku najbardziej zainteresują te, które dotyczą samych Stanów Zjednoczonych AP. i

oblicze niż krajoznawstwo europejskie. Przyczyn tej różnicy należałoby dopatrywać się zapewne w odmiennych warunkach geograficznych i historycznych. Daremnie w poszczególnych krajach europejskich szukalibyśmy tak ogromnych kontrastów klimatycznych, z jakimi spotykamy się na rozległych obszarach Stanów Zjednoczonych, nie mówiąc już o Alasce. I na odwrót, kraje europejskie posiadają wielowiekowe zasoby tradycji historycznych i kulturalnych, z których czerpie europejskie krajoznawstwo, młoda cywilizacja amerykańska natomiast tak bogatych i tak

tytuł informujący o krajoznawcach z arizońskiego miasta Tucson, walczących o ochronę okolicznej przyrody pod hasłem „Nie bądź Litterbugiem”. „Litterbug” to symbol śmieciarza i brudasa, rysowany w postaci disneyowskiego owada, rozrzucającego na wszystkie strony puszkę po konserwach, papiery, puste butelki, niedopalki itp. W walce z „litterbugami” i śladami ich działalności biorą udział dosłownie wszyscy mieszkańcy Tucson.

Każdy artykuł uzupełniają doskonałe zdjęcia lub rysunki, a okładki pisma są z reguły kolorowe. Szczegółnej

i u nas, gdzie dotychczas tego rodzaju fotografią zajmuje się niewielu.

Oprócz artykułów i reportaży w każdym numerze „Natural History” znajdują się recenzje książek naukowych i popularnonaukowych, listy czytelników, dowcipny rysunek i reklamy. Zarówno z treści, jak i z szaty ilustracyjnej pisma widać, że redakcja pragnie poinformować czytelnika nawet o najbardziej skomplikowanych zjawiskach w jak najprostszym i jak najatrakcyjniejszym sposobie. I trzeba przyznać, że jej się to w pełni udaje.

(L. Z.)

NAJSTARSZY DOM W OPOLU

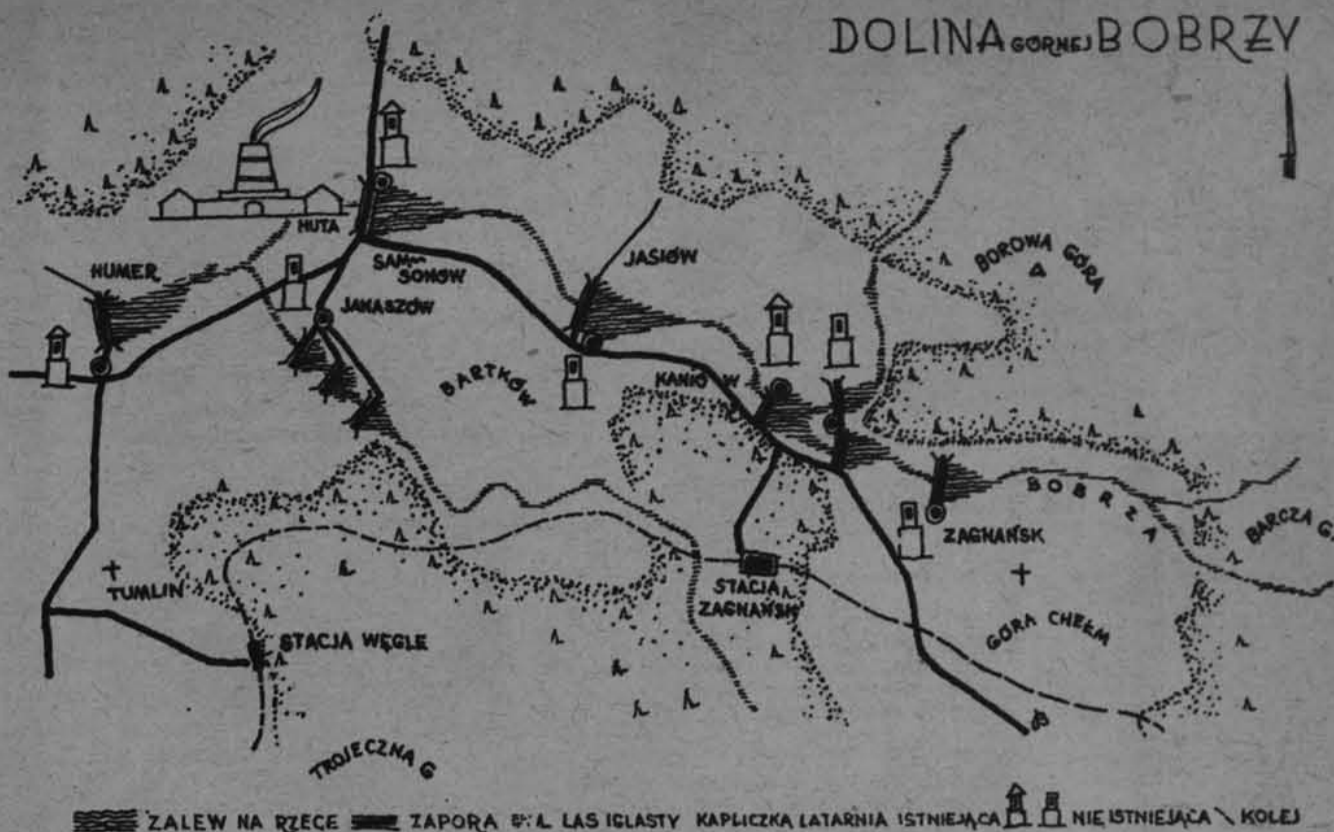
DOKOŃCZENIE

trźnie jednolity charakter barokowej kamienicy o szlachetnych proporcjach. Narożniki elewacji frontowej wzbogacają dwa cylindryczne nadwieszane występy, tak charakterystyczne dla zabytkowych kamienic Opola. Wytworna dekoracja fasady o obramieniach okien wykonanych w tynku pochodzi z drugiej połowy XVIII wieku, prawd-

podobnie z okresu odnowienia po pożarze w r. 1762. Całość budynku nakrywa wysoki, nieregularny dach łamany o dużych połaciach, kryty dachówką.

Wobec olbrzymiego zaniedbania architektury miast i miasteczek na Śląsku oraz utraty wielu bezcennych zabytków budownictwa micjskiego w wy-

niku działań wojennych i braku konserwacji — znaczenie każdego zachowanego budynku o charakterze zabytkowym jest szczególnie duże. Takim obiektem jest bezsprzecznie omawiany budynek w Opolu, legitymujący się nie tylko dawnym pochodzeniem, lecz także wysoką wartością artystyczną i urbanistyczną.



ZALEW NA RZECIE ZAPORA LAS IGLASTY KAPLICZKA LATARNIA ISTNIEJĄCA NIE ISTNIEJĄCA KOLEJ

ŚWIĘTOKRZYSKIE KAPLICZKI-LATARNIE

Janusz Bogdanowski

Wśród lasów świętokrzyskich, u stóp Barczej Góry, bierze początek malownicza dolina Bobrzy. Rzeka ta, zbierając w swym górnym biegu wody licznych strumieni, płynie wśród Zagnańskich i Samsonowskich lasów mijając przerwane wały zapór, bezczynne młyny, porośnięte trawą usypiska żużlu wielkopiecowego. Dziś nie porusza już żadnych kół wodnych dających energię zakładom przemysłowym. Nawet nie huczy już w młyńskich kołach, które zastąpiono elektrycznymi maszynami.

A jeszcze nie tak dawno, niecałe 100 lat temu, dolina rozbrzmiewała loskotem pędzących kół wodnych, co krok w poprzek doliny piętrzyły się zapory, huczały młoty w kuźnicach, woda szumiała w zaworach, na niebie gorzały luny wielkich pieców. Lasy rozbrzmiewały stukotem siekier, ciężo drzewo na opał, a po polanach snuły się dymy z mielerzy — palono węgiel.

Ze świetnych zakładów pozostały tylko ruiny. Rzeka zerwawszy zawory zniszczyła kunsztownie sypane tamy, podmyła dawne przemysłowe budowle. Tu i ówdzie odlany z żeliwa krucyfik przydrożny, nagrobek na wiejskim cmentarzu, czy pięknie kuty krzyż żelazny na kapliczce, przypomina o dawnym kunszcie.

Na przestrzeni 7 km od Zagnańska-Wąsoszy po Tumlin można zobaczyć jeszcze resztki 10 mniejszych i większych zapór wodnych. A każde odgałęzienie drogi wiodące ku dawnej zaporce, ku dawnemu obiektowi przemysłowemu znaczy lub znaczyła kapliczka.

Przyjrząwszy się im lepiej stwierdzimy, że łączą je ciekawe cechy wspólne.

Na rozstajnych drogach, koło Tumlina, naprzeciw żeliwnego krucyfiksu z 1846 roku, stoi niska, przysadzista, słupowa kapliczka. Kamienista, czerwona od rudy droga obok niej opada ostrym zakrętem w dół, ku szerokiej grobli, za którą lśni tafla stawu. Wzdłuż zapory wierzby i potężne dranicowe dachy na kamiennych budowlach. To Humer — dawna fryszerka. Kapliczka prosta, starodawna w formie. Cztery spiętrzone coraz to mniejsze graniastosłupy, z tych dwa górne przebite na 4 strony świata otworami. Wszystko nakryte prostym daszkiem, zwieńczonym pięknym dziełem miejscowego kowalskiego rzemieślnika — kutym krzyżem z kogutkiem.

Podobna, jak mówią miejscowi, stała w Janaszowie. Wiodła do niej prosta droga od wielkiego pieca w Samsonowie. Dziś na tym miejscu leży przy drodze kamień młyński z wetkniętym krzyżem drewnianym. Droga, biegnąca dotąd prosto, rozchodzi się tu na trzy strony od trzech zalewów na rzece. Stoją przy nich jeszcze resztki młynów, dawniej podobno mielących rudę dla Samsonowa.

W Samsonowie, na wzgórzu, przy starym upuście zapory, święty Jan Nepomucen strzegł przed powodzią. Złożono hutę. Nad figurą zbudowano kapliczkę o wielkich oszklonych oknach i gonowym daszku z baniastą sygnaturką. Widać ją od wielkiego pieca u kresu perspektywy drogi.

Koło Jasiowa znów resztki zapory z

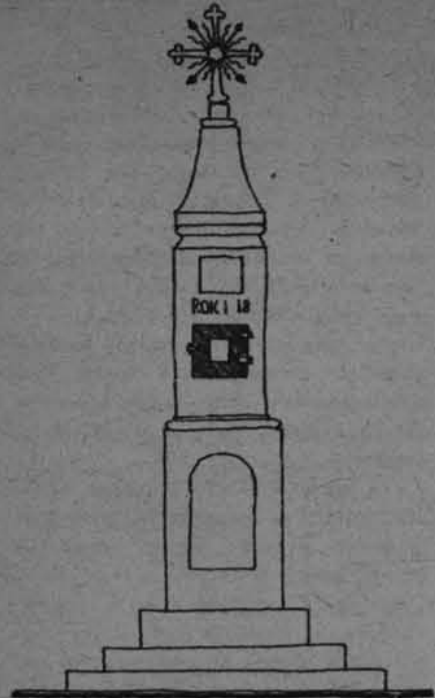
żużlu. Przy drodze do niej krzyż. I tu stała kiedyś kapliczka.

W Kaniowie boczna droga zbiega w dół do doliny Bobrzy zielonym wierzbowym tunelem. W jego końcu, nad wodą, tuż obok stosu przegniłych belek, wielkich kół trybowych i wodnych, znów kapliczka. W górnej części otwór i drzwiczki z szybą.

Przy drodze do Borowej Góry z Zagnańska, na dwóch odnogach Bobrzy dwie zapory. Między nimi pagórek, na którym również stała kapliczka.

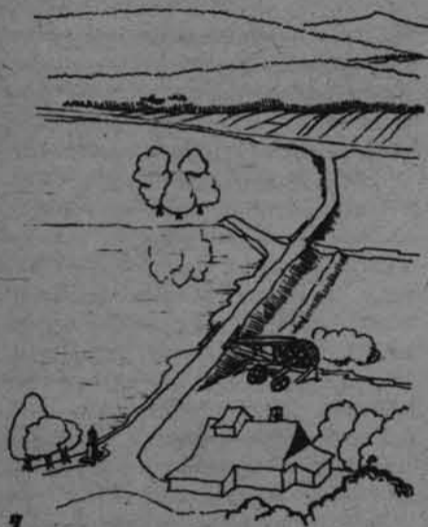
Kapliczki zachowane w Humrze i Kaniowie oraz wiadomości o janaszowskiej wskazują na wspólną cechę: w każdej z nich jest miejsce na światło. Do tego sprowadza się też kaplica św. Jana w Samsonowie — duże okna mogą dawać z daleka widoczne światło. W Kaniowie jest nawet osłona światła w postaci drzwiczek i szybki. Lecz do czego służyły światła w tych kapliczkach? Czy tylko do celów kultowych?

Tradycja kapliczek-słupów z płonącym w nocy światłem sięga daleko w przeszłość. Stare krakowskie przysłowie mówiło „przez długą ulicę prosto na szubienicę”. Miejsca straceń, cmentarze, uroczyska, znaczone jeszcze w średniowieczu kapliczkami — latarniami, które broniły przed strachami i upiorami, wzywały do modlitwy za zmarłych i ostrzegały przed wejściem na niebezpieczne tereny. Samotne kapliczki-laternie płonęły w „błędnych miejscach” w XVI, XVII wieku i później, wskazując drogę błądzącym.

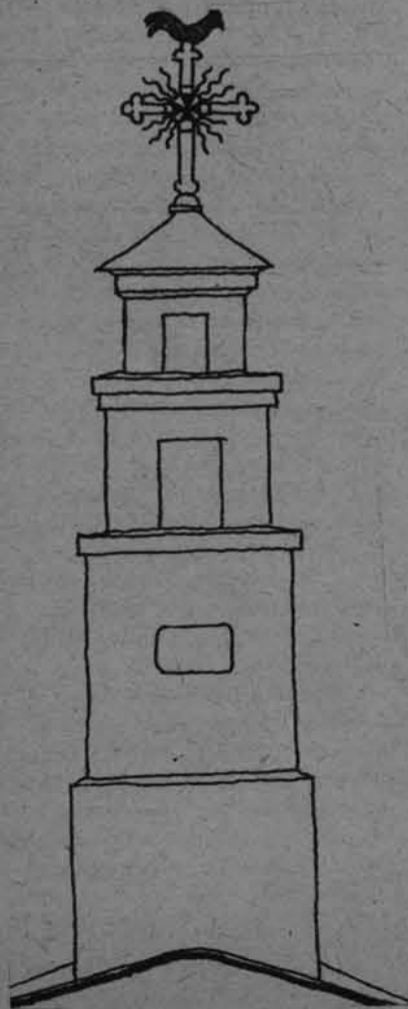


↑ Kapliczka w Kaniowie. Pod nieczytelną datą wnętrza na światło zamykana drzwiczkami z szybą.

↓ Sytuacja kapliczki-laterni w Kaniowie. Grobla prowadzi do szlaku Zagnańsk—Samsonów. W głębi Trojezna Góra i lasy Tumlińskie.



↓ Kapliczka w Humrze, która również spełniała funkcję latarni. Wszystkie rysunki autora.

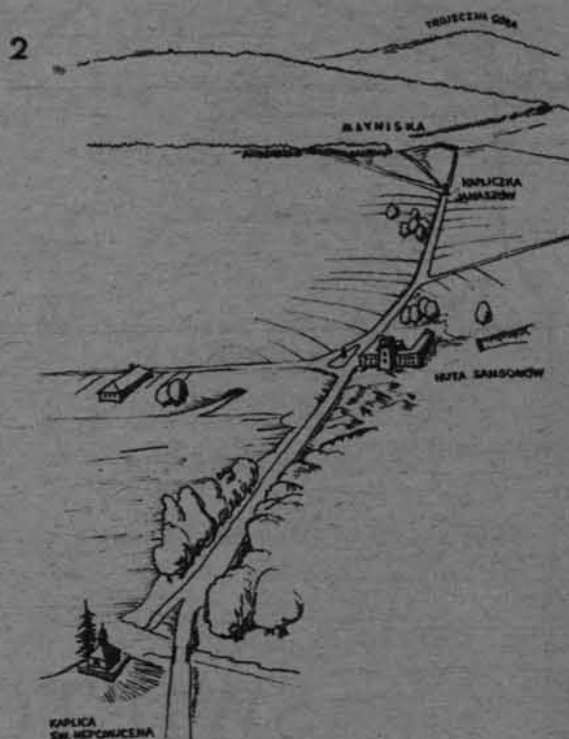




1 Dawny zalew przemysłowy. Humer koło Tumlina w woj. kieleckim.

Fot. J. Bogdanowski

2 Samsonów. Droga do kapliczki św. Nepomucena. Z prawej u góry kapliczka w Janaszowie. Światła huty i kapliczek znajdowały się zawsze na perspektywicznych zamknięciach dróg.

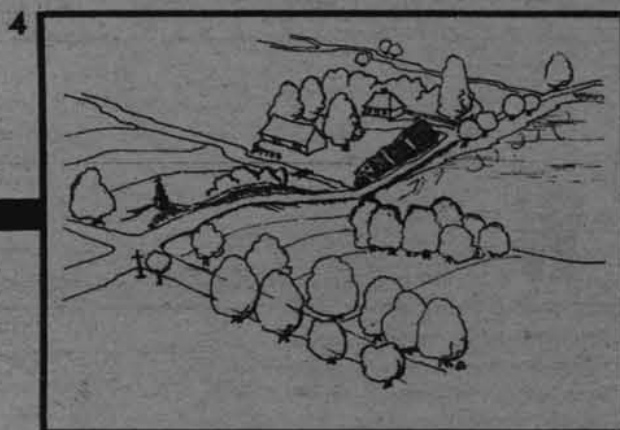


3 Piec hutniczy z początku XIX wieku. Samsonów woj. kieleckie.

Fot. Tadeusz Przyppkowski.

4 Kapliczka przy skrzyżowaniu dróg przy Humrze, prawdopodobnie oświetlająca drogę do dawnej fryszarki.

5 Resztki zakładu przemysłowego w Kaniowie w woj. kieleckim.



Przypuszczać należy, że światła kapliczek koło dawnych zakładów przemysłowych spełniały podobną funkcję. Ciemną nocą, we mgle, bez światła, trudno byłoby trafić do zespołów położonych nisko w dolinie, w bok od drogi, za drzewami. A produkcja żelaza wymagała nieustannej pracy, dowozu rudy z kopalń, z młynisk, dowozu węgla; bieg maszyn wymagał kontroli stawidel, doprowadzenia wody. Rolę drogowyskazów, gdzie co się znajduje, mogły spełniać światła kapliczek-laterni.

Na początek prosty przykład. Światło kapliczki w Kaniowie widoczne było w końcu płytkiego jaru i prowadziło wprost przed fryszarkę czy młynisko. Nicco inaczej wyglądało to w Humrze. Zaznaczone światłem było tylko odgałęzienie drogi, którym należało jechać, dalej już widać było światła samej fryszarki. Kapliczka-laternia świeciła tu na 4 strony, wskazując nie tylko drogę do Humru, ale i z powrotem. Bardziej skomplikowanym przykładem jest już Samsonów, gdzie występuje cały system światel. Huta z luną wielkiego pieca była z dala widoczna, lecz do stawidel światło z niej nie sięgało. Miejsce ich znaczyło światło kapliczki św. Jana Nepomucena na końcu zapory, wskazujące wśród nocnej ciemności czy śnieżnej zamięci, nie tylko gdzie są stawidla, ale i jak do nich trafić; droga bowiem była prosta, a światło widać było z placu przed hutą. W przeciwnym kierunku, na południe, znajdowały się młyniska w Janaszowie. Droga biegła prosto od wielkiego pieca do światła janaszowskiej kapliczki-laterni. Stąd drogi rozchodziły się trzema prostymi ciągami do młynisk, których światła były już widoczne od latarni.

Tak więc nocną dostawę materiałów czy też dojeżdżenie po bezdrożach zapewniały płonące latarnie dające nie tylko znak świetlny jadącemu, ale i opiekę świętego, któremu kapliczka-laternia była poświęcona. Prostem i tradycyjnym sposobem rozwiązano trudny problem nocnej komunikacji pomiędzy poszczególnymi częściami zakładu przemysłowego, który z konieczności musiał być rozrzucony na pewnej przestrzeni wzdłuż wody.

Wiek tych kapliczek trudno dziś określić. Przeważnie nie zachowały się na nich żadne napisy. Być może, są pod pobiałą, którą corocznie pokrywa kapliczki miejscowa ludność. Przemysł istniał w dolinie Bobrzy już w XVII wieku i można przypuszczać, że już w tym czasie posługiwano się latarniami. Najstarsza z zachowanych jest zapewne kapliczka w Humrze i kto wie, czy nie pamięta odleglejszych czasów niż samsonowska, pochodząca z czasu budowy huty około r. 1835.

Teren, z którego przytoczono tu przykłady, jest bardzo mały. Obejmuje tylko skromną część górnego biegu Bobrzy. W dawnym Zagłębiu Staropolskim latarni-kapliczek takich jest niewątpliwie więcej, a sprawa warta jest dokładniejszego zbadania.

Dziś z tego „systemu świetlnego”, podobnie jak i z przemysłu, pozostały tylko resztki. Warto zwrócić uwagę na skromną przydrożną kapliczkę nie tylko ze względu na jej malowniczość i piękno, ale i z uwagi na jej pierwotnie ważne przeznaczenie przewodniczki w ciemnościach.

FABRYKA BRONI W KOZIENICACH

Zbigniew Fuński
Andrzej Swaryczewski

Budowa polskiego przemysłu zbrojeniowego za Stanisława Augusta wiązała się z ogólną odnową stosunków w wojsku. Na początku panowania Polska dysponowała pięciotysięczną armią, zamiast ośmiotysięcznej, jaką opłacał skarb. Różnicę zagarniali faktyczni i tytularni dowódcy. Niczym nie ukrócona władza hetmanów nie pozwalała na uzdrowienie stosunków w wojsku. Pierwszym krokiem na drodze do zreformowania istniejącego stanu rzeczy było utworzenie cywilnych komisji wojskowych (koronnej i litewskiej). Zastąpiono ją później przez Departament Wojskowy, a w 1787 roku powołano zamiast departamentu energiczną Komisję Wojskową, ale tym razem już jedną wspólną dla Korony i Litwy.

Pierwsze komisje wojskowe zostały po sobie w wojsku trwały ślad w postaci zwiększonej karności i porządku w wojsku. Departament Wojskowy zaczął nieśmiało powiększać stan liczebny wojska, ostatnia zaś Komisja Wojskowa zwiększa bardzo znacznie stan armii (57 000 w Koronie i na Litwie). Tak znaczny wzrost ilości żołnierzy spowodował olbrzymie zapotrzebowanie na oporządzenie i broń. W ramach reorganizacji armii, Sejm Czteroletni ustanowił utworzenie kompanii strzeleckich przy regimentach piechoty (październik 1789), wyposażonych w celną broń gwintowaną, produkowaną w fabrykach krajowych. Koncepcję tego projektu przypisuje się Kościuszce, który w okresie pobytu swego w Ameryce, poznał olbrzymią wartość ochotniczych oddziałów farmerów i traperów, walczących w szyku rozproszonym, w przeciwieństwie do regularnego wojska, które stosowało w boju szyk zwarty. Nad wojskiem regularnym górowali oni także uzbrojeniem, gdyż używali przeważnie skalkowanych sztuców gwintowanych, zwanych Kentucky Rifles, wojsko regularne natomiast było wyposażone w znacznie mniej precyzyjne i celne karabiny o gładkich lufach.

Broń gwintowana znana była już od XVI wieku, lecz nie używano jej w wojsku ze względu na koszt i powolność nabijania. Stosowana była natomiast w myślistwie i w zawodach strzelania do tarczy. Próby wprowadzenia tej broni do wojska nie powiodły się i z końcem XVII wieku żadna z armii europejskich nie posługiwała się bronią gwintowaną. Na tym tle decyzja Sejmu Czteroletniego jest więc niezwykle postępową.

W XVIII wieku w Polsce czynne były: rurarnia w Pomykowie, warsztaty rusznikarskie Malachowskich w Jacentowie koło Radoszyc oraz wytwórnie ręcznej broni palnej w Końskich, Przysuszy i Kozienicach.

Dzisiejsze Koziennice to małe miasteczko powiatowe w woj. kieleckim leżące nad rzeczką Zagożdżanką 37 km na północny wschód od Radomia. Położone jest wśród puszczy koziennickiej, pokrywającej niegdyś tereny między Dęblinem, Radomiem i ujściem Pilicy do Wisły. Z puszczy tej do dziś zachowała się jedynie jej część między Koziennicami, Zwoleniem i Radomiem.

Osada Koziennice powstała w XIV w. w dobrach książęcych i nadana została klasztorowi norbertanek w Płocku. Nie była widać jednak zbyt rentowna, gdyż już pod koniec tego wieku norbertanki jej się pozbywają. W następnych latach Koziennice utrzymują się tylko dzięki opiece królów, którzy zjeżdżali tam na łowy lub zatrzymywali się w czasie podróży z Krakowa na Litwę. W roku 1410 właśnie w Koziennicach zbudowano most, spławiony później Wisłą aż pod Czerwińsk, gdzie został użyty do przeprawy wojsk polskich ciągnących na wyprawę przeciw Krzyżakom. W roku 1466 do Koziennic chroni się przed zarząz Kazimierz Jagiellończyk z rodziną. Osada staje się miastem w roku 1549 na podstawie przywileju nadanego przez Zygmunta Augusta Piotrowi Firlejowi, wojewodzie ruskiemu, staroście radomskiemu. Pustoszące całą Polskę najazdy szwedzkie nie oszczędziły także Koziennic. W roku 1656 Stefan Czarniecki rozgromił pod Koziennicami oddział Szwedów pod dowództwem generała Tornskilda, z kolei zaś działające przeciw Polsce wojska Rakoczego spaliły miasto. Odbudowaną potem osadę w roku 1704 ponownie niszczą wojska szwedzkie.

Jeszcze jeden pożar (w roku 1781) pochłania miasto. Tym razem jest to jednak punkt zwrotny w historii jego układu. Wtedy to bowiem Stanisław August Poniatowski nakazuje odbudowę Koziennic według nowego planu. Powstaje wówczas pałac z parkiem, projektu Franciszka Placidiego, a przy pracach nad odbudową zatrudniony jest Jakub Kubicki.

Koziennicka fabryka broni powstała w drugiej połowie XVIII wieku. Zbudowano ją według projektu architekta Jakuba Kubickiego, który budował tam też domy rzemieślnicze i karczmę. Wytwórnia koziennicka jako ta, która po-

siadała najzdolniejszych rzemieślników i odpowiednie maszyny, otrzymała zamówienie na wykonanie sztuców dla oddziałów strzeleckich. Nie mogła jednak pokryć całego zapotrzebowania. Z zamówionych 300 sztuk, do dnia 8. IV. 1791 roku wykonała jedynie 150. Nie tylko zresztą fabryka w Koziennicach miała tak znikomą zdolność produkcyjną. Wytwórnia w Końskich, produkująca flinty o gładkich lufach, z zamówionych w tym czasie 800 sztuk, wykonała tylko 596. Ówczesny dyrektor koziennickiej fabryki, Kownacki, aby zwiększyć ilość produkowanych sztuców, proponuje sprowadzenie kompletnych zamków skalkowanych z Belgii i montowanie ich do gotowej broni na miejscu. Nie można jednak stwierdzić, czy postąpiono według jego rady. Myślano też o stworzeniu nowej fabryki i w tym celu wysłano nawet Kownackiego w Krakowskie z poleceniem wyboru miejsca pod budowę. Niestety do powstania nowej wytwórni nie doszło, a Koziennice mimo licznych trudności produkowały nadal w niewielkiej ilości wprawdzie, lecz za to świetne sztuce. Szczęśliwym trafem do dziś zachował się w Muzeum Wojska w Warszawie jeden okaz, będący jedynym znanym egzemplarzem w Polsce.

Ważniejsze dane techniczne koziennickiego sztucca są następujące: długość — 109 cm, waga — 3,76 kg, kaliber — 16,4 mm, kolba i łoże z krajowego drewna orzechowego, okucia stalowe nie zdobione.

Warto się zapoznać z jego walorami. Przy oglądaniu od razu rzuca się w oczy duża solidność wykonania. Wyposażony jest w przyrząd celowniczy systemu szwajcarskiego, składający się z 2 listewek ze szczybinami, z których jedna przeznaczona jest do celowania na większe drugą na mniejsze odległości. Wycięcia szczybin są półkoliste, a kulki muszka odpowiada im swym kształtem. Sztuciec nie ma bagnetu. Wiadomo, że wyważenie karabinu, tj. położenie jego środka ciężkości, stanowi w dużej mierze o jego wartości. Sztuciec koziennicki wyważony jest w sposób nie ustępujący współczesnemu karabinowi.

Koziennicka fabryka produkowała swe doskonale sztuce do czasów powstania kościuszkowskiego. W 1794 roku rosyjski gen. Apraksin, opanowawszy tę część kraju, niszczy wytwórnię i każe wrzucić do Wisły 1500 sztuk nie wykończonych karabinów. Tak znaczna ilość wskazywałaby na to, iż w ostatnim okresie swego istnienia fabryka rozszep-

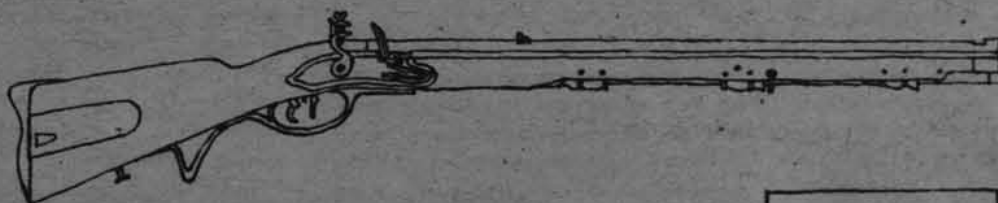


↑ Żołnierz kompanii strzeleckich z lat 1789—1792, formowanych na wzór amerykańskich ochotniczych oddziałów farmerów i traperów.

Rys. Zbigniew Fuński.

↓ Kapliczka przydrożna z okolicy Koziennic.

Fot. Stefan Deptuszewski.



Gwintowany sztuciec koziennicki produkowany w latach 1790—1794, i jego znak fabryczny — „cechówka”.

Rys. Z. Fuński.

No 87

8 z KOZIENIC

rzyła produkcję. Ocalały sprzęt i fachowców także Kościuszko przeniósł do Warszawy, gdzie pod jego nadzorem zaczęto tworzyć przemysł zbrojeniowy, którego brak tak bardzo dawał się we znaki wojsku powstańcemu podczas insurekcji.

Jako wspomnienie dawniejszego przemysłu pozostała zachowana do dziś, a do niedawna jeszcze czynna walcownia

Piśmiennictwo

- F. Sulimierski, *Słownik Geogr. Krót. Polskiego*. W-wa 1883.
W. Hupert, *Historia Wojenna Polska*. Lwów, W-wa 1921.

blachy w Koziencicach. Podlega ona ochronie jako zabytek budownictwa przemysłowego razem z innymi dawnymi obiektami przemysłowymi okręgu staropolskiego, do którego obok Samsonowa, Suchedniowa, Końskich i Małenka zaliczają się także Koziencice.

Zbigniew Fuiński
Andrzej Swaryczewski

- K. Górski, *Historia Piechoty Polskiej*. Kraków 1893.
J. Podolski, *Pierwszy polski karabin*. Broń i Barwa z l. 1934.
F. Kancierz, *Ochrona zabytków bud. przem.* Ochr. Zab. nr 3/4 1951.
T. Rawski, *Sztuka dowódcza T. Kościuszki*. W-wa 1953.

Budynek dawnych jatek w pobliżu rynku kozienieckiego.

Fot. Stefan Deptuszewski



RECENZJE

Mapa krajoznawcza Polski

„Turyści wszelkich dyscyplin doczekali się wreszcie — po wielu latach oczekiwania — wydania turystycznej mapy Polski”. Tymi słowami rozpoczął R. Burzyński swój list o *Mapie Krajoznawczej Polski*¹, wydrukowany w 536 numerze „Przekroju”. Oczywiście mamy tu do czynienia z nieporozumieniem. Mapa o tej podziałce nie może być mapą turystyczną dla większości dyscyplin turystycznych. Stąd też ogół turystów przyjął nową mapę właśnie raczej z rozczarowaniem, ponieważ spodziewano się, że będzie ona bardziej turystyczną a nie tylko krajoznawczą. Krajoznawcza funkcja tej mapy jest więc głównie tematem poniższych uwag.

Mapy turystyczno-krajoznawcze stanowią osobny dział map specjalnych. Ich „specjalność” polega na tym, że zawierają szereg elementów ważnych z turystycznego i krajoznawczego punktu widzenia, a więc szlaki znakowe, schroniska, rezerwy przyrody, zabytki sztuki itp.

Elementy specjalne wszystkich map turystyczno-krajoznawczych dają się podzielić na dwa rodzaje: 1) elementy mające turystom ułatwić poruszanie się w terenie, które mogą być różne na różnych mapach turystycznych (np. szlaki turystyczne podane na jednych mapach, dokładna sieć dróg bitych na innych), 2) elementy wskazujące turystom w terenie obiekty godne obejrzenia, zwiedzenia; te elementy winny występować na wszystkich mapach turystycznych, zgodnie z postulatem nierozłączności turystyki z krajoznawstwem. Jeżeli mapa rezygnuje z pełnego przedstawienia elementów pierwszej kategorii kładąc nacisk na elementy krajoznawcze, staje się ona wówczas mapą nie turystyczną, lecz wyłącznie krajoznawczą. Taki właśnie charakter ma mapa ta o której mówimy.

Łatwo stwierdzić, że mapa posiada skalę ok. 1:500000, jest więc oparta bezpośrednio na mapie typu topograficzno-przeglądowego. Podkład geograficzny mapy bogaty. Sieć rzeczna prawie pełna, uwzględnione wszystkie większe jeziora. Rzeźba terenu oddana metodą barwnych warstw,

przy czym nie wprowadzono odmiennych kolorem linii poziomowych — poziomice wyznacza wprost linia stykowa dwu sąsiednich barw. Rysunek rzeźby wypadła dosyć plastycznie z wyjątkiem terenów górskich. Niezbyt szczęśliwie wybrana skala barw zaciemnia rysunek i powoduje fałszywe oceny wysokości.

Sieć komunikacyjną reprezentują na mapie koleje normalno i wąskotorowe oraz kolejki górskie obok dróg kołowych podzielonych na „główne” i „inne drogi”. Sieci kolejowej nie przedstawiono wyczerpująco, brak np. linii elektrycznych kolejek wąskotorowych łączących Łódź z szeregiem osad podmiejskich, odległych nieraz o 40 km. Można się domyślać, że wszystkie drogi „główne” na mapie są drogami bitymi, natomiast wśród „drog innych” na pewno są i drogi bite i gruntowe. Brak rozróżnienia dróg bitych i kołowych jest niewątpliwie wadą mapy i zmniejsza jej przydatność zwłaszcza dla turystyki motorowej.

Mapa zawiera w zasadzie wszystkie osiedla miejskie i pewną ilość wiejskich.

Podaje również pokrycie terenu lasami, w sposób bardzo schematyczny, za pomocą rozrzuconych „choinek”, bez zaznaczenia krawędzi lasów. W rezultacie na podstawie tej mapy odnosi się wrażenie, iż jakoby teren był bardziej zalesiony, niż to jest naprawdę; jak słusznie już zauważono, cały kraj wydaje się tu pokryty gęstym borem.²

Zaznaczono na mapie miejscowości klimatyczne, uzdrowiska, ośrodki Funduszu Wczasów Pracowniczych — elementy niewątpliwie interesujące kuracjuszy i wczasowiczów, mniej natomiast ciekawe dla turystów i krajoznawców. Umieszczenie schronisk wzbogaciło mapę o element na pewno niezbędny na mapie krajoznawczej (choć oczywiście schroniska, ściśle biorąc, są obiektami „turystycznymi” a nie „krajoznawczymi”).

Pewna grupa znaków wiąże się z turystyką wodną. W tym zakresie autorzy mapy wyszli poza wyłączną „krajoznawczość” mapy, nadając jej

również nieco charakteru „turystycznego”. Mamy tu bowiem oprócz stanic wodnych, ośrodków sportów wodnych (nie przedstawionych jednak na mapie wyczerpująco) i przystani żeglugi osobowej również ważniejsze szlaki żeglarskie i ważniejsze szlaki kajakowe.

Osobną grupę stanowią „obiekty godne zwiedzenia”, jak można by je określić. Na czoło wysunięto: „zamki, ruiny, zabytki architektury”. Dziwi trochę ta klasyfikacja — czy nie powinno być: „zamki, ruiny zamków (bo chyba chodzi tu tylko o ruiny zamków?), inne zabytki architektury”? Przecież zamki i ich ruiny to również zabytki architektury. Dalej idą dzienne staromiejskie, muzea, pobożowiska, miejsca b. obozów koncentracyjnych, wreszcie przyroda: rezerwy roślinne, zwierzęce, ptasie; przyrody nieożywionej i grotty.

Tak wygląda treść *Mapy Krajoznawczej Polski*. Zastanówmy się teraz, czy mapa ta spełnia swoje zadanie? Czy jest mapą udaną? Jak wyżej powiedziano, wydana w tej skali może być wyłącznie mapą krajoznawczą i tylko jako taką można ją oceniać. Wypada więc stwierdzić, czy mapa informuje w sposób poprawny i wystarczający o walorach krajoznawczych naszego kraju?

Zajmijmy się najpierw tym drugim zagadnieniem. Czy elementy specjalne mapy obejmują wszystkie rodzaje obiektów ważnych z krajoznawczego punktu widzenia? Wydaje się, że nie. Przynajmniej o trzech rodzajach obiektów zasługujących na umieszczenie zapomniano — niżej je wymieniamy.

Zabytki dawnego budownictwa przemysłowego. Trzeba je było uwzględnić w „zabytkach architektury” a jeszcze lepiej stworzyć z nich osobną grupę. Zabytków tego rodzaju posiadamy przecież sporo, i to nie tylko w dawnym Zagłębiu Staropolskim, ale i na innych terenach, np. w województwie łódzkim. Równocześnie nie jest ich aż tyle, żeby ich zamieszczenie na mapie miało sprawiać jakieś szczególne trudności.

Powinno się również oznaczyć zabytki tego rodzaju, jak kuźnię w Starej Kuźnicy w pow. koneckim z urządzeniem siedemnastowiecznym, folusz w Kirach za Kościeliskami czy młyn w Świętych Laskach w pow. skierniewickim, wyodrębniając je koniecznie w osobną grupę. Są to bowiem już nie zabytki budownictwa przemysłowego, ale zabytki samej techniki — mamy tu do czynienia wprost

z zabytkowymi a zarazem „żywymi” ośrodkami produkcji.

Autorzy mapy pamiętali o pobożowiskach, zaznaczając jednak wyłącznie miejsca bitew armii regularnych, starcia w wojnach między państwowych czy z okresu powstań ogólnonarodowych, pominięto natomiast zupełnie miejsca starć zbrojnych podczas powstań o podłożu społecznym (Czorsztyn, N. Targ, Łódź itp.).

Tego rodzaju elementy chcielibyśmy widzieć też na mapie. Wykazuje ona przy tym braki i w tych elementach, które zdecydowano się uwzględnić. Szczególnie daje się to zauważyć w zakresie zabytków architektury. Niewątpliwie na mapie w skali 1:500000 nie można zmieścić wszystkich zabytków, można było ich jednak podać znacznie więcej. Dlaczego w pewnych figurujących na mapie miejscowościach nie nadmieniono, że posiadają one ciekawe zabytki? Chciałoby taki Żarnów w Opoczyńskim, który ma kościół o partiach romańskich?

Dlatego wprowadzono pewne miejscowości w ogóle pozbawione zabytków, a pominięto sąsiednie, warte zaznaczenia?

Jeżeli autorzy mapy zdecydowali się dać wybór zabytków architektury, to chyba na podstawie jakiegoś określonego kryterium. Trudno jednak byłoby dopatrzeć się śladów takiego kryterium. Dlaczego znalazł się np. na mapie kościółek drewniany w Koźlu (pow. brzeziński) a nie zaznaczono wspomnianego już kościoła, niewątpliwie ciekawszego w Żarnowie i starszego w sąsiednich Mąkolicach?

Nie podobna wyliczać wszystko, co w zakresie zabytków architektury dałoby się jeszcze na mapie uwzględnić. Wystarczy skonfrontować mapę z literaturą fachową. Trzeba tylko stwierdzić, że pod tym względem mapa jest mniej wyczerpująca, niż by się można spodziewać.

Można również przytoczyć pewne luki w przedstawieniu na mapie wyodrębnionych z zabytków architektury zamków i ich ruin. Na niektórych arkuszach mapy brak zamku w Bykach koło Piotrkowa, zamku w Ojcowie, ruin w Bolesławcu, w Rytwianach, w Ossolinie, w Czochwie, w Międzygórzu.

Dość skąpo oznaczono na mapie dzienne staromiejskie. Na przykład należał się taki znak Łęczycy, której część w obrębie dawnych murów posiada doskonale czytelny plan lokacyjny, starą zabudowę i duże sku-

pienie różnych zabytków pojedynczych.

Tyle o brakach. Przejdźmy z kolei do sprawy poprawności informowania czytelników przez elementy oznaczone. Niestety i tu dadzą się zauważyć pewne niedociągnięcia. Najwyraźniej może występują w zakresie pobojuwisk. Pomińmy tu już fakt, że w datach bitew zdarzają się błędy (np. oblężenie Częstochowy w r. 1656), spróbujmy się natomiast zorientować, co wskazuje znak pobojuwiska umieszczony na mapie, czy dokładnie miejsce, które było niegdyś terenem bitwy, czy też związane go z nazwą miejscowości przez bitwę upamiętnionej? Należało w całej mapie zastosować pod tym względem jednolitą metodę, przyjmując chyba tę drugą zasadę, znakiem przyjętym na mapie można bowiem wskazywać dokładne miejsce pobojuwiska jedynie w odniesieniu do bitew stoczonych do końca XVIII w. Późniejsze pobojuwiska obejmują z natury rzeczy zbyt wielkie przestrzenie. Ale nawet wcześniej nie zawsze to byłoby możliwe, np. w wypadku oblężeń miast, gdy pobojuwiskiem stawało się przedpole całego obwodu murów. Toteż umieszczenie znaku na pobojuwisko przy nazwie miejscowości, a więc symboliczne niejako przedstawienie zagadnienia wydawałoby się

najwłaściwsze. Szkoda, że nie zastosowano konsekwentnie tej metody wszędzie. Przeciwno rozwiązaniu zagadnienia pobojuwisk na mapie można poza tym wysunąć podobne zarzuty co przy zabytkach architektury. Zgoda na to, że nie oznaczono wszystkich pobojuwisk, ale jakim kierowano się przy selekcji kryterium? Nic nam mapa nie mówi, że w latach 1914 i 1915 okolice Łodzi, Limanowej, Gorlic (by pominąć już inne miasta) były terenem wielkich zmagania, choć artykuły o bitwach biorących nazwy od tych miejscowości znajdziemy w encyklopedii brytyjskiej czy radzieckiej i choć turysta na tych pobojuwiskach dziś jeszcze spotyka całe cmentarze poległych wówczas żołnierzy. Pominęto też na przykład wielką trzydniową bitwę pod Warszawą stoczoną w roku 1656 w okresie wojny przeciw najazdowi szwedzkiemu, bitwę, która ma również szeroką literaturę? Dlaczego z kampanii powstania 1830—1831 zaznaczono obok Grochowa i Igania np. Kazimierz nad Wisłą, pominęto zaś Ostrołękę i Warszawę (obrona Woli)?

Mapę wydano w arkuszach, z których każdy obejmuje jedno lub dwa województwa oraz sporo obszaru województw sąsiednich. Ten sposób wydania mapy wygodny jest dla tych

wszystkich, którzy nie uprawiają turystyki poza granicami swego województwa albo tylko niedaleko poza te granice się wychylają. Wszyscy natomiast turyści, których zainteresowania rozciągają się na całą Polskę, słusznie narzekać mogą, że po skompletowaniu całości mapy otrzymają w rezultacie terytorium Polski dwukrotnie powiększone (z powodu powtarzania się tych samych terenów na różnych arkuszach), no i że w ten sposób choć posiadanie całego obszaru Polski podwójnie ich kosztuje. Kto wie, zatem czy więc mechaniczne pocięcie całości przedstawionego terenu na arkusze nie byłoby praktyczniejsze. Wystarczyłoby wówczas arkuszy mniej o połowę, więc i oszczędność papieru byłaby znaczna.

Mapa ukazywała się stopniowo, arkuszami. Porównując poszczególne arkusze widzimy, że druk pierwszego arkusza rozpoczęto przed ostateczną redakcją całości. Świadczą o tym dosyć znaczne różnice w treści kolejnych arkuszy. Np. na mapie województwa warszawskiego brak szeregu miejscowości zabytkowych lub oznaczeń zabytków, a które znalazły się następnie z tytułu sąsiedztwa na mapie województwa łódzkiego (kościół w Białej, dwór w Wodzierzadach, zamek w Bykach).

Czy w konkluzji można stwierdzić,

że mapa całkowicie spełnia swoje zadanie? Czy informuje należycie o walorach krajoznawczych Polski? Trudno byłoby dziś dać taką pozytywną ocenę bez zastrzeżeń. Można więc chyba oczekiwać nowego pełniejszego i staranniejszego wydania mapy. Niemniej sam fakt ukazania się jej powitano radośnie. Ukazanie się *Mapy Krajoznawczej Polski* przezwyciężyło bowiem długi okres całkowitego braku nowych wydawnictw kartograficznych poświęconych krajoznawstwu i turystyce. Można żywić nadzieję, że omówiona tu mapa zapowiada dalsze wydawnictwa o charakterze krajoznawczym i turystycznym-krajoznawczym. Mamy prawo spodziewać się takich wydawnictw wobec powszechnego ostatnio uznania wagi i znaczenia wychowawczego krajoznawstwa. Dobrze zaś mapy są przecież jednym z warunków jego rozwoju.

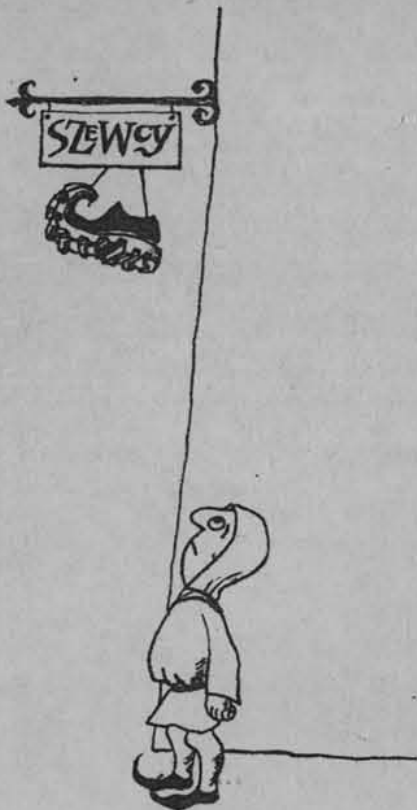
ANDRZEJ TOMCZAK

PRZYPISY:

¹ *Mapa Krajoznawcza Polski* wydana w 1955 r. przez Centralny Urząd Geodezji i Kartografii.

² M. Terlak w numerze 9 „Turysty” z września 1955 r.

Zygmunt Pęcherski



Rys. Szczepan Hennig.

W Muzeum regionalnym, prowadzonym przez oddział PTTK w Koninie, honorowe miejsce zajmuje nadniszczona wiekiem skrzynka cechu szewców. Przekazał te cenne pamiątki syn ostatniego starszego tej organizacji, Jerzy Cichocki. W skrzynce mieściła się książka z rachunkami, pieczęć gospody, tace do zbierania pieniędzy, młotek drewniany używany w czasie prowadzenia obrad, woreczek na pieniądze, dyscyplina do chłosty oraz schowany pod podwójnym dnem dokument, spisany na cienko wyprawionej skórze. Jest to statut czeladzi szewskiej wydany w roku 1672 za panowania króla Michała Wiśniowieckiego.

Z treści dokumentu wynikałoby, że w niedużym mieście Koninie istniała obok cechu, zrzeszającego majstrów pracodawców, także organizacja pracowników najemnych, czyli czeladzi

szewskiej. Byłoby to odpowiednik dzisiejszego związku zawodowego?

Umieszczone w dokumencie przepisy obowiązujące szewców konińskich nie tylko regulują stosunki w pracy, ale także szereg spraw, które by dziś zaliczono do zupełnie prywatnych i osobistych.

A więc mamy przepis wymierzony przeciw leniwym pracownikom — za leżenie przy pracy groziła kara „pięciu wochlonów” w odniesieniu do towarzysza, a młodzieniaszka karano „starym obyczajem”. Oznacza to, że czeladnik (towarzysz) był karnie pozbawiony przy wypłacie pięciu tygodniówek, ucznia zaś po prostu chłostano. Za opuszczenie dnia pracy w tygodniu groziła kara twierdzy miejskiej. Tu jednak wyłącznie tradycyjni szewski poniedziałek oraz ustalono, że o twierdzy będzie decydować „uznanie braci”. Przepisy wyznaczają dokładnie okresy, w których nie wolno jest czeladnikowi odejść od mistrza. Są to: okres trzech tygodni przed Bożym Narodzeniem, Wielkanocą i Świątkami oraz okres przed każdym jarmarkiem. W wypadku złamania tego przepisu towarzyszowi groziła kara utraty 12 tygodniówek. Za zbiegłym czeladnikiem ogłaszano „przepowiedź jako za niedobrym”, czyli list gończy.

Ciekawą jest rzeczą, że spotykamy się tu z normowaniem pracy.

A jak wyglądało normowanie pracy w tych czasach?

Przy ustalaniu wynagrodzenia dodatkowego zwanego „piwnym”, wynoszącym dla czeladnika półtora grosza dziennie, ustalono, że otrzyma je taki, który wyrobi 5 par trzewików, co się

równa 2 parom butów lub 9 podszyciom zółwkami starych cholew. A więc widzimy tu przepisy poprzedzające jakby nasze normy i premie.

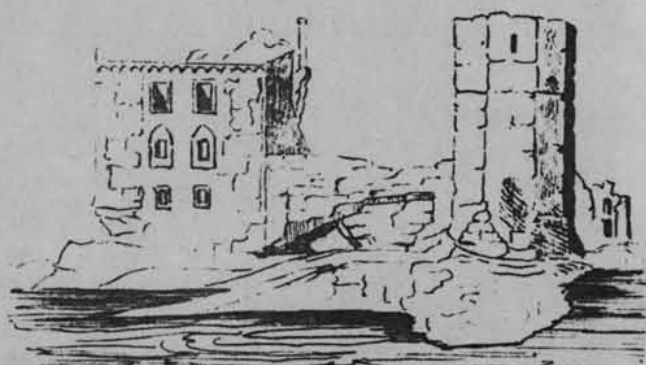
Statut ustala także okresy rozliczeń majstra z pracownikami. Następowalo ono cztery razy w roku, za okresy zwane kwartałami. Kwartały liczyło się: pierwszy od Bożego Narodzenia do Wielkiej Nocy, następny dwie niedziele po św. Janie, trzeci od św. Michała do święta Jedenastu Tysięcy dziewic, wreszcie ostatni do Bożego Narodzenia. Prócz otrzymywanego wynagrodzenia wolno było czeladnikowi „ustawić sobie podarunek”, jednak nie więcej jak 1 skórę jałowiczą i 2 cielęce w okresie trzeciego kwartału, i jedną jałowiczą, i jedną cielęcą w czwartym kwartale. Za kradzież rzemienia groziła kara potrącenia 6 tygodniówek. Młodzieniaszka za każdym razem karano „starym obyczajem”.

Jak daleko sięgała w tym czasie ingerencja organizacji cechowej w życie prywatne rzemieślnika, dowodzą inne przepisy o charakterze obyczajowym.

I tak czeladnik płacił 4 grosze za nieobecność na sumie w kościele. Ucznia kosztowało to 2 grosze. Ten, który nie stawiał się na dyżur przy świecach w kościele, płacił 4 grosze. Nie stawiającemu się na mszę żałobną groziła kara dwu tygodniówek.

Za nieprzystojne zachowanie się w gospodzie karano dziesięciu wochlonami. Wyższa kara groziła, gdyby towarzysz dopuścił do tego, aby mu w go-

(Dokończenie na str. 32)



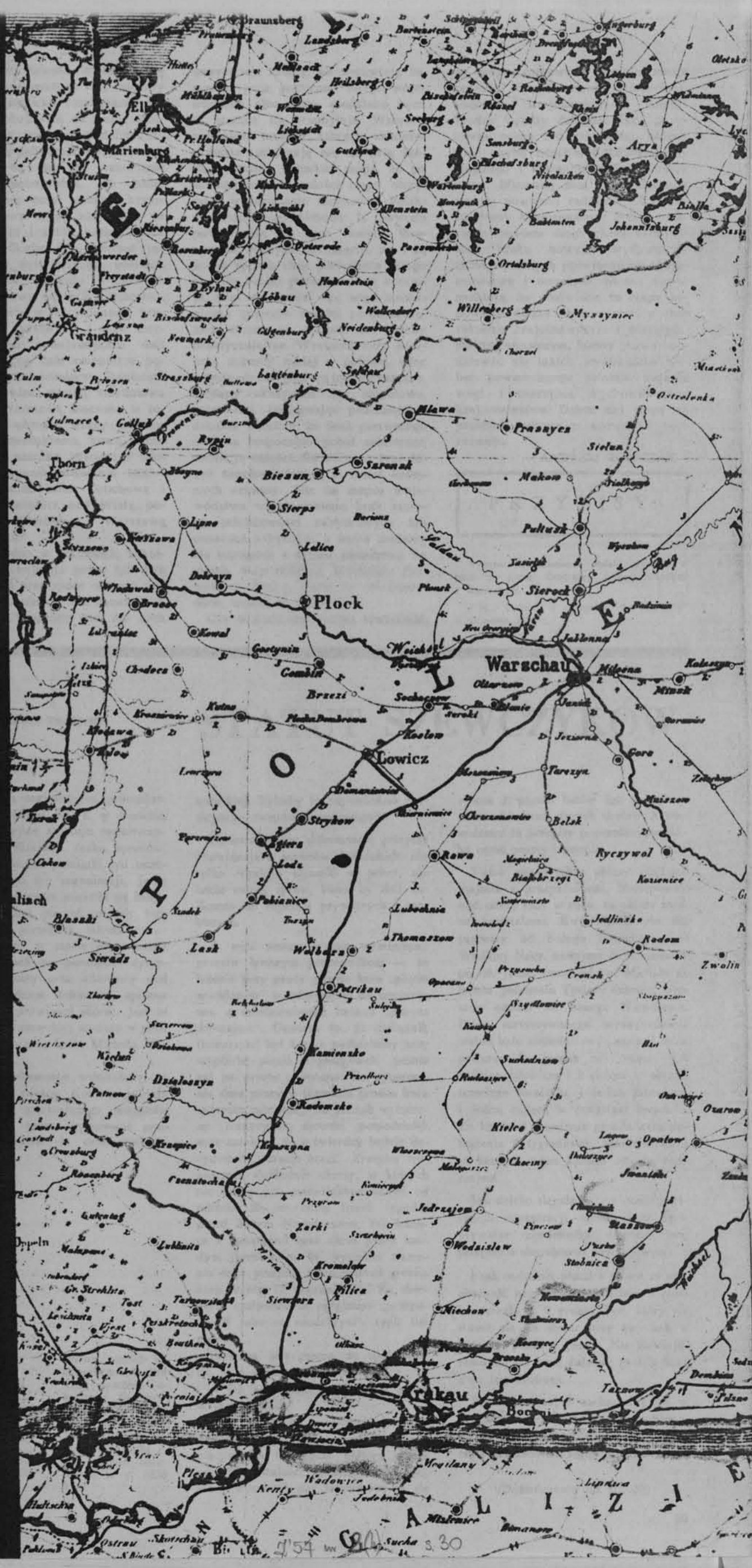
Ruiny zamku na przedmieściu Konina według akwareli Stęczyńskiego (*Przyjaciel Ludu* nr 1, 1844). Wg Katalogu Zabytków Sztuki P. I. S. zamek rozebrano w r. 1838 Rys.

2/54, nr 2(4) s. 29



DAWNE POCZTY POLSKIE

Ledwie w poprzednim numerze ogłosiliśmy apel do krajoznawców o współpracę w badaniu historii dawnych poczty polskich, a już otrzymaliśmy pierwsze materiały. Nasza czytelniczka z Krakowa, p. Stanisława Srokowska, nadesłała niezwykle interesującą mapę połączeń dyliżansowych z roku 1856. Obok zamieszczamy wycinek mapy obrazujący stan linii komunikacyjnych na terenach Polski. Wyraźnie widać różnicę między zaborami. Kongresówka posiadała wówczas tylko jedną linię kolejową, a sieć poczty konnych znacznie rzadszą niż np. ówczesny Śląsk. Niejedno z dzisiejszych podpadłych i odsuniętych od szlaków komunikacyjnych miasteczek było wówczas węzłem poczty poczytnych i odwrotnie, niektóre dzisiejsze miasta oznaczone są (jak np. Łódź) zaledwie małym kółkiem.



Izdebnik w pow. wadowickim jest dzisiaj tylko jedną ze wsi — w roku 1856, sto lat temu, był to jednak ważny węzeł komunikacyjny. Budynek poczty do dziś się zachował, jakkolwiek w stanie nienadzwyczajnym. Zbudowano go na przełomie XVIII i XIX wieku. Dziwnym zbiegiem okoliczności w zabytkowym budynku i dziś znajduje pomieszczenie agencja pocztowa.

Zdjęcie po prawej (fot. M. Kornecki) — obecny stan dawnej poczty w Izdebniku.

Rys. z prawej — oto jak nasz rysownik Szczepan Hennig wyobraża sobie podróż przepelnionym dyliżansem.



Stary pocztowiec z VI wieku

W dniu 18 grudnia ub. roku zostało nareszcie otwarte Muzeum Poczty i Telekomunikacji we Wrocławiu. Dla upamiętnienia tego faktu poczta wypuściła znaczek wartości 60 gr, przedstawiający śląskiego gońca pocztowego z XVI w. wg współczesnego drzeworytu.

Wszystkim, którzy udadzą się do Wrocławia, radzimy zwiedzić Muzeum. Być może w przyszłości obejrzą tam mapę, której wycinek zamieszczamy w niniejszym numerze. Muzeum zakupiło już bowiem oryginalną mapę od p. Srokowskiej.

CZY GOPŁO BYŁO RZEKĄ?

(Dokończenie)

tedy przecinał drogi. W takowym stanie bez pomocy ludzkiej i bez mieszkańców dolna część koryta tej rzeki, wystawiona na całą dzikość, wiecznie tarasowana łomem i wywrotami drzewa, mogła się łatwo zatamować i słabe tylko sącząć ścieki ku dolnej Warcie, spierać w górze wody do znacznej wysokości.

Jak niepozorne zawały mogą utrudniać odpływ rzeki, tak najmniejsze ich uprzątnięcie, choćby w jednym szczególnie miejscu, odmienia cały stan spadku i wysokości wody. Wyprostowanie koryta dolnej Noteci w latach 1773—74 i wycięcie w nim zaważających krzewów powiększyło w dwójnasób odpływ wody, osuszyło niezmiernie płaszczyny zatapiających brzegów i zniżyło na półtora stopy powierzchnię tak zwanej rzeki, jako też Gopla.

W Bydgoszczy znajdują się świadectwa, że gdy za Fryderyka II kopano przez błota kanał od Noteci do Brdy, długości 27 kilometrów, natrafiono w jednym miejscu na ślady i reszty odwiecznej śluzy. To odkrycie... przekonywało każdego, że na smugach między tymi rzekami leżących wody tak stały wysoko, że mogły sięgać zarazem i jednej, i drugiej rzeki.

Historia, ugruntowane wnioski i zgodne podania naznaczają początkowy związek polityczny narodu polskiego około niższej Warty i nad Gopłem; Gniezno, Kruszwica i Poznań, jak były pierwszymi stolicami kraju, tak przyległe im okolice i pokolenia nadały imię tym, które do nich później przyłączone zostały. Dzisiejszy departament poznański z Kaliskiem i częścią Śląska były pierwotnie właściwym królestwem polskim.

Ponieważ prawdziwa Polska w porównaniu z resztą krajów przyłączy-

nych nie była znaczna, trzeba zatem przypuścić, że z innych względów przenosiła wszystkie; wyższy stopień uobyczajenia, bogactwa i potęgi musiały jej nadać pierwszeństwo i zwierzchność nad resztą.

Dawni pisarze krajowi zgadzają się, że za rodziną książąt domu Lechitów Kruszwica była stolicą krajową (*Vetus regim*, mówi Długosz).

Dopóki Gopło złączone było z Wartą i Wisłą, dopóty służyło za główny gościniec handlu i żeglugi do morza. Wszystkie statki z Warty, Prozny, Neru, Widawki, Izdwarły, Odry i innych, chcąc płynąć do Gdańska, tedy się przeprowiać musiały. Podobnie statki wiślane albo zagrożone niebezpieczeństwem od morza, albo szukając lepszych zysków w tej stronie, mogły się zawsze przebieierać przez Gopło do Szczecina i dalej."

Przerwanie żeglugi na Goplu przesądziło jakoby zmięch starożytnego grodu.

Wanda Hanelt

Mimo że obraz okolic Gopla, jaki maluje nam Surowiecki, wydaje się mocno przesadzony, przypuszczenia jego bynajmniej nie były pozbawione podstaw. Dzisiejsza nauka uznaje możliwość istnienia we wczesnym średniowieczu na obszarach między Wartą a Wisłą znacznych rozlewisk i bagien, charakterem przypominających Polesie. Istniejące więc warunki naturalne dopuszczały możliwość żeglugi, choć nie na tak dużą skalę, jak to przypuszczał Surowiecki. Wiadomość o odnalezieniu wśród bagien szczątków domniemanej śluzy nasuwa przypuszczenie, że mogły to być ślady dawnej osady bagiennej takiej, na jaką natrafiono później w Biskupinie.

ZAMEK W DĄBRÓWCE

Z Nozdrza, położonego przy szosie z Brzozowa do Dynowa, nie ma do leżącej po przeciwnej stronie Sanu Dąbrówki Starzeńskiej stałego przewozu przez rzekę, ale już w pobliskim Dynowie niezawodny prom stoi do dyspozycji. Stąd wzdłuż rzeki na miejsce tylko parę kilometrów.

Wieś położona w dolinie o zalesionych stokach sprawia miłe wrażenie. Spośród zieleni zabytkowego parku nieoczekiwanie wyrastają masywne czworoboczne baszty, wzniesione z kamienia

do niedawna jeszcze był zamieszkały. Następnie uległ spaleniowi, gdy zaś stosunki po ostatniej wojnie zaczęły się normować — zamek rozebrano. Rozbiórka trwała długo. Mury z XVI wieku rozkruszano powoli, lecz systematycznie. Potem podobno władze wstrzymały rozbiórkę, lecz z zamku pozostały już tylko ruiny trzech baszt, straszące napisami na wewnętrznych ścianach, gdzieś na wysokości trzeciej kondygnacji, gdzie do niedawna jeszcze się mieszkało. Oprócz ruin baszt ocalały z zam-



— „My do zamku nic nie mamy” — mówi przewodniczący gminnej spółdzielni w Nozdrzu. — „Resztówka jest nasza, ale budynek nas nie interesuje. Idźcie do Powiatowego Zarządu Rolnictwa w Brzozowie”.

Wierzyć czy nie wierzyć temu oświadczeniu? Kto i do kogo ma pójść ze skargą na straty nieodwracalne? Czas już, by wreszcie przykładowo ukarano winnych dewastacji pomników kultury narodowej.

Od opisanych odwiedzin w Dąbrówce Starzeńskiej minęło parę miesięcy. O ile nam wiadomo, w wyniku interwencji, Ministerstwo Kultury i Sztuki wydało ponowny zakaz niszczenia ruin zamku. Ale takich zamków bezmyślnie niszczonech jest w Polsce więcej. Problem ich więc jest niestety nadal aktualny.

Marian Kornecki



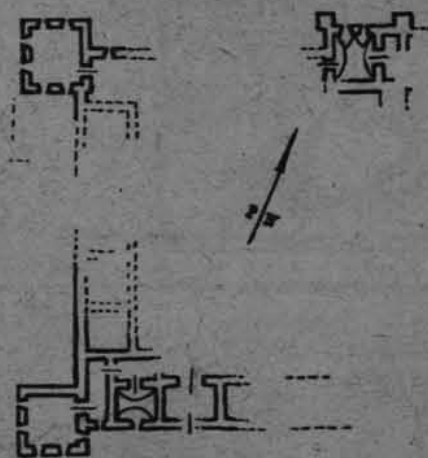
i cegły, spoglądające w dolinę pustyni otworami okien i strzelnic. Na resztkach murów porastają krzewy i chwasty.

Już na pierwszy rzut oka dostrzeżę się pierwotne założenie obronne zamku, stojącego w zakolu Sanu na wzniesieniu, zapewne sztucznie umocnionym. Plan całości czworoboczny, z basztami w narożnikach, dobry przykład renesansowej twierdzy.

Zamek ten nie został opracowany w żadnej publikacji naukowej. Jak podają źródła, pierwotnie mieli go wznieść Kmitowic. Później należał do Stadnickich. Obecny, zapewne z XVI wieku,

ku resztki muru ze strzelnicami, arkada bramy i ostatnie sklepienia.

W momencie, gdy przybyliśmy na miejsce, jakiś człowiek zaczepiony na zrębie muru wbijał lom we wznoszące się jeszcze partie murów. Odlupywane kamienie spadały na ziemię. Opodal — sterta świeżo wyrąbanego kamienia. Jakieś renesansowe obramienie okna, z którego niedawno wylupano kratę i znów jakiś człowiek ze sztabą żelazną w ręce... Dlaczego i w imię czego dokonywano w roku 1956 barbarzyńskiego niszczenia cennego zabytku? Kto i jakim prawem sprzedawał miejscowej ludności materiał z rozbiórki zamku?



↑ Ruiny zamku w Dąbrówce. Barbarzyńsko zniszczone przy wyrąbywaniu kraty kamienne obramowania okna.

↑ Widok ogólny ruin zamku w Dąbrówce Starzeńskiej i otaczającego je parku.

← Orientacyjny plan zachowanych ruin zamku w Dąbrówce Starzeńskiej wg stanu z r. 1956. Zdjęcia i rysunek autora.

STATUT SZEW CZYKÓW

DO KOŃCZENIA

spodzie „szyja puszczała” (wymioty). Wtedy kara wynosiła 15 tygodniówek.

Kary groziły również za „niewstydlive żarty” lub śpiewanie „nieuczciwych pieśni” w warsztacie. Karano wówczas

towarzysza utratą 10 wochlonów, młodzieniaszka zaś „starym obyczajem”.

Wobec majstra trzeba się było zachowywać z szacunkiem. Za odważenie się z mistrzem „w rząd siadać” lub jakąś „grę czynić”, groziła kara pozbawienia sześciu tygodniówek. Za „szacowanie majstra swego językiem niepowściągliwym” karano ośmiu wochlonami. W każdym wypadku czeladnik otrzymywał kary pieniężne, uczeń tylko był karany chłostą. W jednym tylko wypadku przewiduje statut chłostę dla czeladnika, a mianowicie wtedy, „gdyby towa-

rzysz ważył się na mistrza swego rzucić słowem albo uczynkiem, taki ma być karany starym obyczajem, jeśli miłosierdzia nie będzie”. Przepis dopuszczał więc ze strony majstra możliwość okazania miłosierdzia, co mogło zwolnić nieraz już przecież starszego wiekiem czeladnika od hańbiącej kary chłosty.

Statut szewczyków konińskich wprowadza przy tym pewne ograniczenie w stosowaniu kar. Nie mógł więc okrutny mistrz pastwić się nad pracownikiem.

Dokument opatrzone pieczęcią miej-

ską, podpisami burmistrza, rajców oraz cechmistrza, podstarszego i dwóch braci stołowych.

Zygmunt Pęcherski

Statuty czeladzi nie były w owych czasach rzadkością. Organizacje towarzyskie broniły interesów czeladzi przed wyzyskiem mistrzów. Statut koniński jednak ochrania raczej interesy mistrzów, czego dowodem są liczne kary spadające na czeladź nawet za niewielkie przewinienia.